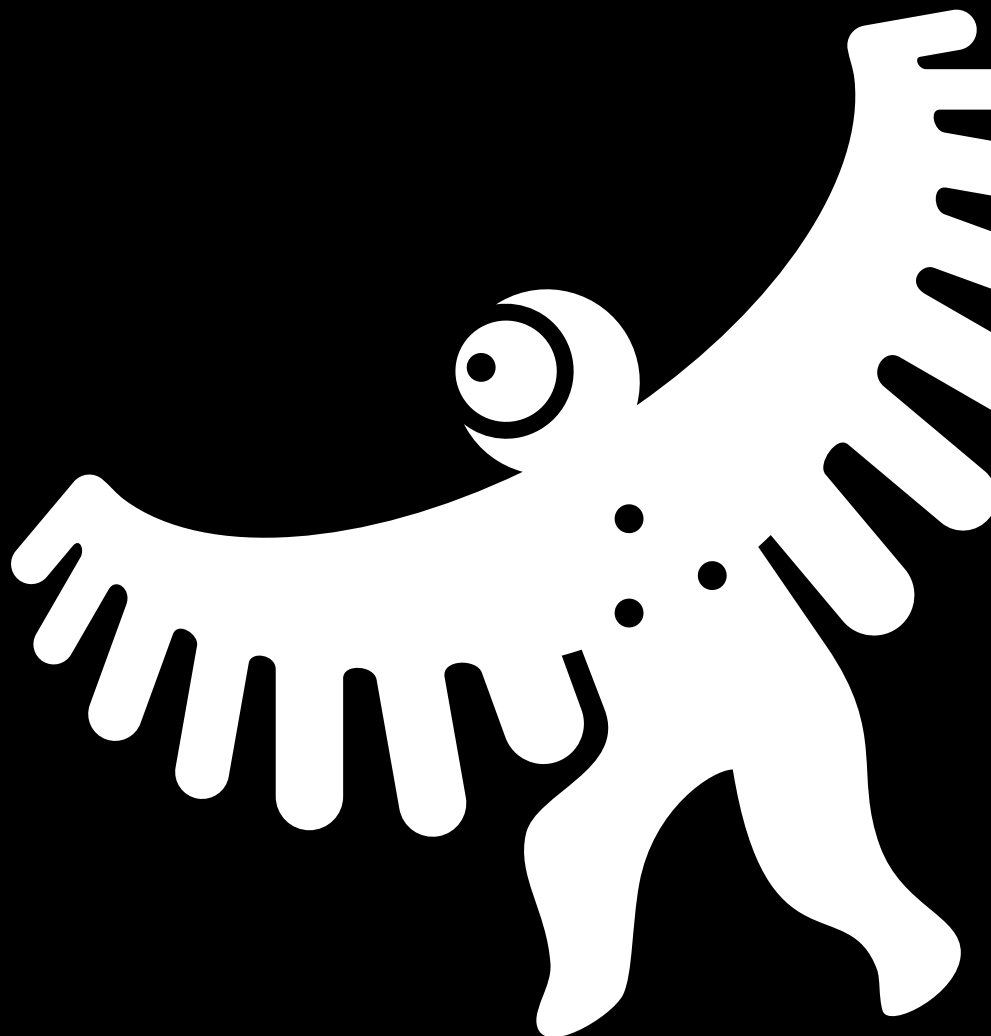


VariArt

pismo kulturalno-literackie
NR 04/2017 (37)



www.wbp.olsztyn.pl





MAREK MARCINKOWSKI

Dorożka aeterna

Z tą wiecznością to chyba spora przesada. W każdym razie Miasto miało początek (a wieczność, przynajmniej ta w popularnym rozumieniu, raczej początku oraz końca jest pozbawiona) i Warron nawet dokładnie wyliczył, że „urbe condita” wydarzyło się 21 kwietnia 753 roku p.n.e. Tegoroczne tradycyjne rzymskie święto — Natale di Roma (Narodziny Rzymu) — z racji okrągłej 2770 rocznicy było szczególnie widowiskowe. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności 21 kwietnia wypadł w piątek, więc obchody wypełniły cały weekend. Przez trzy dni Circo Massimo był pełen atrakcji, a imponująca parada ponad dwu tysięcy historycznych przebierańców z całej Europy wokół Palatynu i Forum Romanum wzbudziła niezwykle entuzjazm zarówno współczesnych mieszkańców miasta, jak i turystów. Chyba jedyną niezadowoloną grupą byli dorożkarze mający swoją bazę na Placu Weneckim, skąd wyruszają z turystami na przejażdżkę trasą pokrywającą się z rocznicową paradą. Na czas uroczystości niestety dochodowe przejażdżki zostały zawieszone. Z nimi trzeba uważać. Zazwyczaj zainteresowany turysta otrzymuje propozycje przejażdżki w wersji standard i extra (odpowiednio 100 i 120 euro). Ta ekstra ma być ekstra. W rzeczywistości obie wersje niczym się nie różnią, ale ponieważ rzadko kto korzysta z tej atrakcji dwukrotnie, zazwyczaj oszukany pozostaje w nieświadomości. Próba dowiedzenia się od dorożkarza, co było ekstra, kończy się fiaskiem, gdyż w tej części atrakcji dorożkarze zapominają wszystkich języków obcych, perfekcyjnie używanych w fazie negocjacji, za wyjątkiem rzymskiego dialektu z pobliskiej dzielnicy Portico d'Ottavia, skąd się tradycyjnie wywodzą, przyprawionego szerokim i szczerym uśmiechem.

Przyciągające licznych przyjezdnych obchody rzymskich jubileuszy mają (jak większość rzeczy w Mieście) odwieczną tradycję. Rozpoczął ją w 47 r. cesarz Klaudiusz, osiemset lat po przypuszczalnej dacie założenia Miasta, a kontynuowali w następnych stuleciach cesarze: Antoninus Pius w 147 r. oraz Filip Arab w 278 r., czyli pierwszym roku drugiego millenium. Później, już w dobie chrześcijańskiej, uroczystości wspominające to wielkie wydarzenie zastąpiły obchody ku czci św. Cezarego diakona (patrona cesarzy rzymskich), a później obchodzone od XIII w. i ogłaszane przez papieża Lata Jubileuszowe. Świętowanie urodzin miasta na sposób antyczny starali się

przywrócić wielbiący starożytność renesansowi humaniści, ale dopiero Benito Mussolini uczynił 21 kwietnia wielkim ogólnonarodowym świętem dającym szansę na patetyczne przemówienia, teatralne pozy, faszystowskie pozdrowienia, a nade wszystko na pławienie się w uwielbieniu wielotysięcznych tłumów wierzących, że oto za sprawą charyzmatycznego Duce niedoceniony dotąd wielki naród nareszcie powstaje z kolan. Nic więc dziwnego, że po klęsce faszyzmu święto zniesiono, ale nie na tyle, by nie mogło się odrodzić, głównie jako turystyczna atrakcja i okazja do spotkania włoskich i europejskich grup rekonstrukcyjnych (ze stratą dla wspomnianych już na początku dorożkarzy).

A wracając do kwestii „wieczności” Rzymu, to nie wpisuje się ona również w inną koncepcję, zgodnie z którą wieczność to istnienie poza czasem. Mało jest bowiem miast, dla których chronologiczny porządek dziejów jest tak istotny. Dzieje Miasta od zarania spisywano w skrupulatnie prowadzonych i troskliwie przechowywanych rocznikach. To one stanowiły bezcenny materiał źródłowy dla Tytusa Liwiusza, autora monumentalnej historii Rzymu zatytułowanej „Od założenia miasta” („Ab Urbe condita”) spisanej w 142 woluminach i obejmującej okres od wspomnianego wcześniej roku 753 p.n.e. po rok 7 p.n.e. Razem z poetycką „Eneidą” Wergiliusza powstała w czasach Oktawiana Augusta, która opisuje historię Trojańczyka Eneasza, protoplasty Rzymian, pomyślaną jako legenda założycielska Miasta, obejmując one naprawdę szmat czasu. Ale jednak nie wieczność!

A więc jeżeli „wieczność” w odniesieniu do samego miasta zdaje się jedynie propagandową metaforą, to może bardziej dosłownie odnosi się ono do kulturalnego, czy szerzej, cywilizacyjnego wkładu w ogólnoludzki dorobek. Rzymska sztuka i ta z czasów antycznych, i ta z czasów nowożytnych zajmuje naprawdę znaczną część powszechnej historii sztuki. Rzymskiego prawa uczą się studenci wszystkich uniwersytetów. Istotne ślady administracyjnych rozwiązań, terminów czy szat widoczne są choćby w praktyce kościoła katolickiego, a liczne drogi nadal prowadzą do Rzymu. Nawet jeżeli niektóre ich partie są z powodu historycznej parady nieprzejezdne. Z niepowetowaną stratą dla rzymskich dorożkarzy.

02 FELIETON

MAREK MARCINKOWSKI: Dorożka aeterna

04 WYWIAD

Każdy dzień jest egzaminem: Z LESZKIEM SZARZYŃSKIM rozmawia KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI

08 POEZJA

AMARSANA ULZYTUJEW

10 PROZA

OLGIERD DZIECHCIARZ: Pobudka (fragment powieści pt. *Grzebanie*)

13 POEZJA

WOJCIECH BANACH

15 GALERIA

MARIA I MAREK SKURPSCY: Panorama reszelska

16 GALERIA

HIERONIM SKURPSKI

18 HISTORIA PEWNEGO DOMU

MARIA I MAREK SKURPSCY: Wspólnota adresu

20 RECENZJA

JERZY LENGAUER: *Moje życie, moje czasy* — Ernst Wiechert

22 INICJATYWA

IWONA LIŻEWSKA: TOnZ w Olsztynie

24 FELIETON

MONIKA KOWALEWSKA: Wieczność

25 PROZA

KAJA WILEGOWSKA: Wiecznia Kość.*

26 PROZA

OLGIERD DZIECHCIARZ: Pobudka (cd. ze str 12)

27 RECENZJA

EMILIA WORONOWICZ: Bilet w jedną stronę... na zawsze

28 ZAPISKI

HIERONIM SKURPSKI: Myśli i rysunki

30 LITERATURA REGIONALNA

IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK, URSZULA KOSIŃSKA, BOŻENA KRACZKOWSKA

31 WARMIA

Wieczna lampka

W NUMERZE 04/2017:

Pragniemy Państwu zaoferować pióra wieczne niekończącego się strumienia ludzkiej wyobraźni. Od kiedy nauczyliśmy się pisać, piszemy, wiecznie mając coś ważnego, niezwykle interesującego, niecierpiącego zwłoki do powiedzenia.

Ledwie przyłożyliśmy głowę do poduszki, a tu *Pobudka*, proza Olgierda Dziechciarza. Poranek przepleciony wierszami Wojciecha Banacha i Amarsana Ulzytujewa. Przed południem dostojnie przejeździemy się dorożką z Markiem Marcinkowskim, by pod wspólnym adresem, razem z Państwem Skurpskimi, spojrzeć na panoramę Reszla. Pod wieczór zamyślimy się — *Moje życie, moje czasy* z Ernstem Wiechertem. Jeszcze tylko przed zaśnięciem głowę zawróci nam *Bilet w jedną stronę... na zawsze* Emilii Woronowicz. I już w spokoju możemy położyć się na ulubionym jaseczku na *Wieczność* z Moniką Kowalewską. A tu jakby na złość, *Wiecznia Kość*, jeszcze Kaja Wilęgowska. I znów *Pobudka*...
... oby nie wysechł atrament w wiecznym piórze.

Redakcja

VariArt

VariArt. Pismo kulturalno-literackie. ISSN 2080-1483
Nr 04/2017 (37)Wydawca:
Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie
10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.plWspółwydawca:
Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI
<http://aresztsztuki.wixsite.com/olsztynart>; e-mail: aresztsztuki@gmail.comZespół redakcyjny:
Iwona Bolińska-Walendzik, Joanna Cieślińska, Maja Dzieciątek, Monika Kowalewska, Krzysztof D. Szatravski
e-mail: variart@wbp.olsztyn.plGrafika: Przemek Kozak, skład: Iwona Bolińska-Walendzik
Druk: „Gutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Świniarski OlsztynZrealizowano przy współudziale finansowym
Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego

Z LESZKIEM SZARZYŃSKIM ROZMAWIA KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI

Każdy dzień jest egzaminem

Do Olsztyna trafiłeś bezpośrednio po studiach, zatem jesteś tu od roku 1977...

... w rzeczywistości już od 1976.

A jak to się stało, że wybrałeś Olsztyn?

Stało się to przypadkiem. Kończąc studia w Akademii Muzycznej w Krakowie – a koncert dyplomowy miałem w Dniu Dziecka, 1 czerwca 1976 roku – zastanawiałem się, naturalnie, co dalej. Bardzo wcześnie miałem wszystko poukładane. Z dzisiejszej perspektywy wygląda to dość dziwnie, ale miałem zapewnioną pracę w Filharmonii Wrocławskiej jako pierwszy flecista. Po egzaminie i przesłuchaniach moją kandydaturę przyjął kierownik sekcji fletów Józef Balcak, więc była to właściwie naturalna kolej rzeczy, że będę grał we Wrocławiu.

Oznaczałoby to powrót w rodzinne strony...

Urodziłem się w Świebodzicach, mój brat był wicekoncertmistrzem Filharmonii Wrocławskiej, więc powrót do Wrocławia wydawał się naturalną konsekwencją – i bliskość domu, i bliskość rodziny, i dotychczasowe doświadczenie, bo pierwszym nauczycielem fletu w Liceum Muzycznym we Wrocławiu był wspomniany Józef Balcak, wszystko przemawiało za tym, aby to był Wrocław.

I z Wrocławiem byłeś związany od początku nauki? Mieszkałeś w internacie?

Najpierw uczyłem się w domu, później w szkole w Wałbrzychu. W burcie mieszkalem od czternastego roku życia, na początku nauki w Liceum Muzycznym we Wrocławiu, ale później przenieśliem się do klasy fletu pani Marty Jarmutowej w Szkole Muzycznej II stopnia w Wałbrzychu, bo rodzina stwierdziła, że będzie miała lepszy kontakt ze mną. Do Wrocławia ze Świebodzic było pięćdziesiąt osiem kilometrów, a do Wałbrzycha tylko piętnaście. Łatwiej mogli mnie kontrolować.

A mieli powody do niepokoju?

Jak to się mawia, zajmowałem się wszystkim, tylko nie tym, co trzeba. W tym czasie byłem już w klubie sportowym Ślęza Wrocław, gdzie trenowałem piłkarstwo, a równocześnie w klubie Gwardia Wrocław, w sekcji boksu. A w ogóle sport był zawsze moją pasją, kiedyś uprawiałem czynnie różne

dyscypliny, a dzisiaj nadal się sportem interesuję.

Wiedziałem, że uprawiałeś lekkoatletykę. Czy trening lekkoatletyczny miał znaczenie dla kariery muzycznej?

Jestem przekonany, że sport zawsze ma wpływ na całe nasze życie, nie tylko na sprawność fizyczną, ale również na nasze emocje.

Wróćmy do związków z Olsztynem – w którym momencie zainteresowałeś się Warmią?

Podczas studiów mieszkalem w pokoju z Piotrem Wierzbickim, skrzypkiem pochodzącym z Olsztyna. Jego brat Marek był wicekoncertmistrzem wiolonczel w Olsztynie. Ich ojciec był stomatologiem. Zaraz po dyplomie mój przyjaciel Piotr zaprosił mnie do Olsztyna na wakacje. W czasie tych wakacji odwiedziliśmy jego brata w filharmonii, bez żadnej myśli o profesjonalnych kontaktach, wyłącznie towarzysko. Później Piotr pracował we Freiburgu, w tej samej orkiestrze, w której mój brat był pierwszym skrzypkiem, a Marek w orkiestrze w Meksyku.

Okazało się, że była to wizyta jak najbardziej zawodowa.

W tym czasie orkiestra przygotowywała się do zagranicznego tournée, mieli próby dwa razy dziennie. Dyrygent Janusz Przybylski, który też był z Krakowa, docenił moje referencje jako absolwenta klasy prof. Barbary Świątek. A w międzyczasie zdobyłem jeszcze doświadczenie jako członek orkiestry Jerzego Maksymiuka, orkiestry młodej, w której aktywni, nieustannie rozwijający się muzycy byli w ciągłym ruchu, więc był to w sumie dość krótki epizod. I kiedy odwiedziłem filharmonię, okazało się, że akurat przed wyjazdem olsztyńska orkiestra ma kłopot z obsadą fletów. Dyrygent zaproponował mi, żebym zagrał, a później, żebym w Olsztynie został na stałe.

Tournée było próbą, po której zapadła decyzja o przeprowadzce do Olsztyna?

Można tak to ująć. Jeszcze przed ukończeniem studiów, to znaczy przed obroną magisterium, dyrygent zaproponował mi pracę, a żeby mnie zachęcić, zaproponował też mieszkanie. W ciągu dwóch tygodni otrzymałem klucz. Wrocław mnie przyciągał i, jak wspominałem, miałem tam możliwość pracy, taki wybór byłby jednak równoznaczny z mieszkaniem w Domu Aktora. Tymczasem tutaj miałem mieszkanie.

Dla młodego człowieka na starcie – propozycja nie do pogardzenia.

Tak było. Mieszkanie okazało się argumentem decydującym. W 1976 r. zdecydowałem, że zostaję w Olsztynie. Po obronie pracy rok później mogłem się zadowolić. Mieszkanie, mieszczące się w budynku przy ulicy Okrzei nie było wielkie, ale na początek było najzupełniej wystarczające. Wszędzie miałem blisko i mogłem zupełnie normalnie funkcjonować. Równocześnie dostałem klasę w szkole muzycznej, a dyrektor Roman Urbanek bardzo aktywnie wspierał jej rozwój, spełniając całą listę życzeń, na przykład załatwiając zakup fletów, co w tamtym czasie nie było prostą sprawą. Tym bardziej, że do tej pory nie było olsztyńskich absolwentów fletu, którzy zdaliby na studia instrumentalne. Tymczasem moja pierwsza absolwentka dostała się do Akademii. A wkrótce jeszcze kilka kolejnych uczennic rozpoczęło studia na kierunku instrumentalnym. W następnym roku otrzymałem awans na kierownika sekcji instrumentów dętych.

Równocześnie byłeś aktywny jako kameralista. Pamiętam cykl koncertów pod hasłem „Muzycy swojemu miastu”, który odbywał się w klubie Empik.

Ten cykl zorganizował profesor Tadeusz Niedźwiedz – ja byłem jednym z uczestników. Kiedy już zdążyłem się zadowolić, działałem na wszystkich frontach, także jako kameralista i jako solista. Pracowałem bardzo intensywnie, ale takie były warunki. Orkiestra w latach siedemdziesiątych rozwijała się bardzo dynamicznie, podobnie jak całe olsztyńskie środowisko muzyczne, chociaż odczuwało się brak Akademii Muzycznej – to był hamulec rozwoju środowiska. Muzyków pozyskiwano właściwie wyłącznie z zewnątrz. Był to okres bardzo bogaty w wydarzenia, chociaż nie trwał długo, bo mniej więcej do roku 1980. Moje ambicje, duża aktywność i ciągłe poszukiwanie możliwości zawodowego rozwoju były elementami, które wymuszały poszukiwania i zmiany. Poza tym w 1979 roku ożeniłem się w Olsztynie, co z jednej strony wiązało mnie z miastem, ale z drugiej zmieniło mój stosunek do wielu spraw – po prostu musiałem też myśleć o stabilizacji materialnej i zapewnieniu bytu rodzinnie. W międzyczasie zaczęły się psuć relacje w filharmonii. Po serii osiągnięć i sukcesów, nastąpił okres frustrującej stagnacji. I w 1979 r. zapadła decyzja o przeprowadzce do Szczecina.



Wyjeżdżałeś bez żalu, ale na krótko.

W Szczecinie wygrałem konkurs na stanowisko szefa grupy i koncertującego flecisty – wszystko było bardzo obiecujące: warunki pracy, relacje z kierownictwem orkiestry. Byłem przekonany, że się w tym mieście zadowolię. Wcześniej jednak, jeszcze przed przeprowadzką do Szczecina, wziąłem udział w dwóch konkursach na wyjazd do Niszu w Jugosławii i do stolicy Egiptu, przeprowadzonych przez PAGART – agencję zajmującą się organizacją kontraktów zagranicznych dla muzyków. Wygrałem oba. Cairo Symphony Orchestra powstała z połączenia orkiestry filharmonicznej oraz orkiestry Opery Kairskiej, łączyła zresztą obie funkcje – z jednej strony dawała koncerty, z drugiej brała udział w przedstawieniach.

A była to jedna z najlepszych orkiestr w Afryce.

Najlepsza! Zresztą składała się w większej części z Europejczyków i Amerykanów. Opera wybudowana w czasie budowy Kanału Sueskiego spłonęła. Budynek opery już nie istniał, ale spektakle nadal organizowano. W pierwszej połowie sezonu, od października do lutego, trwał sezon operowy, a później był okres pracy filharmonicznej. Decydującą rolę odgrywała dyrektorka opery, słynna egipska primadonna Ratiba El-Hefny. Jako była śpiewaczka La Scali, dzięki rozległym koneksjom w świecie artystycznym, sprowadzała do Kairu największe gwiazdy tej sceny – zarówno śpiewaków, jak i dyrygentów. Było to cenne doświadczenie dla każdego muzyka, bowiem grając w tej orkiestrze przez cztery lata, brałem udział w wykonaniach Cyganerii, Madame Butterfly

czy Traviaty w gwiazdorskich obsadach i pod batutą świetnych dyrygentów. Dla muzyków z Europy dużym wydarzeniem, także w wymiarze emocjonalnym, było wykonanie IX Symfonii Beethovena pod piramidami w Gizie.

W Kairze również kontynuowałeś pracę dydaktyczną.

Uczyłem w tamtejszych koledżach i na uniwersytecie, chociaż kontynuacją trudno to nazwać. Było to zupełnie inne doświadczenie – inna mentalność, inne przyzwyczajenia estetyczne, inny stosunek do muzyki. Obecność ćwierć-tonów w muzyce arabskiej sprawiała, że czasami miałem wrażenie, że moim studentom bliższe byłyby kompozycje Aloisa Háby, niż podstawowy repertuar koncertowy. Poza tym zupełnie inny temperament, duża sprawność manualna, a co za tym idzie, szybkie przyswajanie materiału, ale też trudności z jego utrwalaniem i brak zrozumienia podstawowych elementów naszej kultury. Oczywiście najlepsi osiągalni poziom międzynarodowy, ale dla większości te różnice mentalne stanowiły granicę, której nie mogli przekroczyć.

I właśnie w Kairze założyłeś swój pierwszy zespół Pro Musica. Jakie były początki?

Zespół powstał jako odpowiedź na potrzeby środowiska. W Kairze był bardzo prężnie działający Goethe Institut, przez który jako muzycy orkiestry często byliśmy zapraszani do zagrania koncertów kameralnych.

W takiej sytuacji ukonstytuowanie się zespołu zwykle jest kwestią czasu.

Tak też stało się w naszym przypadku. Zespół miał nazwę, chociaż skład na początku był zmienny, zależał od zapotrzebowania na konkretny, repertuaru oraz od dostępności muzyków. Z czasem jednak okrzepł. Muzycy wywodzili się głównie z Europy, zwłaszcza z Czech, ale na początku w zespole Pro Musica grywali też Amerykanie. W późniejszym okresie byli to przeważnie Polacy. Najdłużej współpracowali wiolonczelista Paweł Pędrasik, który był koncertmistrzem Toruńskiej Orkiestry Kameralnej i członkiem zespołu Multicamerata oraz skrzypek Krzysztof Godek, który później wyjechał do San Sebastian, gdzie grał w orkiestrze.

Do Polski wróciłeś w 1985 roku. Długo się wahałeś — wybrać Szczecin czy Olsztyn?

To była kwestia analizy i odpowiedzi na pytanie, co dalej z sobą zrobić. Z jednej strony rodzinny dom żony i sympatia do Olsztyna, z drugiej strony w Szczecinie czekali na mnie z kontraktem i liczyli na mój powrót. Dyrektor i dyrygent Filharmonii Szczecińskiej Stefan Marczyk przyjął mnie z otwartymi ramionami. Był zainteresowany moim powrotem i miał w związku z tym plany koncertowe. Jednak przed wyjazdem do Egiptu nie zdążyliśmy sobie w Szczecinie zorganizować życia, więc związek z tym miastem nie był

jeszcze tak trwały, a ewentualny powrót do pokoju w Domu Aktora też nie napawał optymizmem. Tymczasem Olsztyn zachęcał jako miasto dobrze już znane, ale nie tylko. W sytuacji, w której koleżanki flecistki Simona Kassak i Anna Jundziłł poszły na urlop macierzyński, byłem tu potrzebny „od zaraz”. Zapotrzebowanie ze strony szkoły również było, jednak chciałem się zająć głównie koncertowaniem. Dlatego do szkoły już nie wróciłem, ale zatrudniłem się jako wykładowca na uczelni i do dzisiaj kontynuuję tę pracę na kolejnych stanowiskach.

I znów obok stałych występów z filharmonią, zacząłeś organizować zespół. Kameralistyka to szczególnie bliski ci obszar.

To zawsze było dla mnie konkretne wyzwanie. Mój pierwszy zachwyt wzbudziło trio Witkomirskich, które usłyszałem jako uczeń szkoły średniej. Sam kameralistyką zajmowałem się od czasu studiów. Znacznie przekraczając wymagany w Akademii program, grałem chyba w dziesięciu zespołach o różnych składach i różnej stylistyce.

Pamiętam, że grałeś w zespołach jazzowych – w latach 70. Kraków był postrzegany jako centrum polskiej szkoły jazzu. Jak wspominasz te lata?

Grałem i jazz, i muzykę balladową, i inne gatunki. Kraków to miasto wyjątkowe — ma swoją niepowtarzalną specyfikę. Grałem na przykład w Piwnicy pod Baranami ze Zbigniewem Wodeckim. Mieliśmy też zespół Miniatury, który brał udział w koncertach poetyckich. Nagrywaliśmy, dużo koncertowaliśmy nie tylko w Krakowie czy w Katowicach, ale i w innych miastach Polski, a także za granicą — wyjeżdżaliśmy kilkukrotnie do Niemiec. Sporo też nagrywałem jako muzyk studyjny, między innymi dla Telewizji Kraków.

Wielość doświadczeń i stylistyczne bogactwo okazały się cennymi doświadczeniami?

Tak, chociaż miałem z tym pewien problem. Liczba przedsięwzięć i ich różnorodność była poważnym obciążeniem, a w tym czasie grałem też w piłkę nożną jako rezerwowi Wisły Kraków, co dodatkowo obciążało mój grafik. Poza tym moja pani profesor Barbara Świątek była artystką występującą na całym świecie, więc do jej planów też musiałem się dostosować. Ale nie chodziło wyłącznie o czas. Granie jazzu, które dawało mi ogromną frajdę, sprawiała, że odchodziłem od dyscypliny przyjętej w klasycznej technice fletowej, a to z kolei spotykało się z krytyką profesor Świątek. Zresztą po latach, kiedy występowaliśmy razem jako soliści koncertów na dwa flety, przyznała, że nie od razu mogła docenić mój rozwój i ambicję.

Byłeś ambitnym studentem?

Zawsze! Nigdy nie ograniczałem się do roli studenta, który dostaje program, zamyka się w pokoju i ćwiczy. Stale dyskutowaliśmy nad doborem repertuaru.

Zawsze chciałem grać możliwie najbardziej ambitny. Po prostu chciałem wykorzystać do maksimum ten czas, który został mi dany. I to mi zostało też później. Zawsze wychodziłem z założenia, że zagrać każdy potrafi, ale to „jak” umiem zagrać, decyduje o tym, że jestem artystą. Dlatego będąc kameralistą, szukałem przez cały czas piękna dźwięku, barw, łączenia poszczególnych instrumentów i taka idea wykonawstwa przyświeca mi do dziś.

I zakładając zespół Pro Musica, a później Pro Musica Antiqua, dążyłeś do spełnienia tych ambicji?

Wybór takiego instrumentarium był decyzją świadomą. Wcześniejsze doświadczenia z instrumentami smyczkowymi pokazały, że barwa fletu i skrzypiec nie stapia się tak dobrze jak flet i obój. I chociaż większość wykonań łączy w sonatach triowych głównie instrumenty smyczkowe, zdecydowałem się na wybór innej drogi, zresztą uzasadnionej historycznymi praktykami wykonawczymi. Na początku chodziło o przełamanie stereotypowych realizacji basso continuo przez wiolonczelę.

Pierwsza Pro Musica w Kairze grała z wiolonczelą, druga Pro Musica powstała w Olsztynie w 1985 r. i była zespołem opartym na instrumentach dętych.

Czułem, że jeszcze nie wszystko powiedziałem, więc olsztyńska Pro Musica z fagocistą Romanem Kuźniakiem i oboistą Sławkiem Kowalskim była kontynuacją. Graliśmy repertuar stylistycznie zróżnicowany — od baroku do współczesności. O tym, jak ważny był to zespół, świadczyć mogą pierwsze sukcesy, dedykowane nam kompozycje, między innymi Marcina Błazewicza, występy na festiwalach i w Filharmonii Narodowej. I oczywiście basso continuo grał fagot, co do dziś brzmi świetnie. Zespół rozpadł się, kiedy Sławek Kowalski wyjechał na kontrakt do Niemiec, a Roman Kuźniak rozpoczął współpracę z Markiem Traczem i jego orkiestrą. Przez kilka miesięcy Pro Musica występowała w wersji ze smyczkami — grałem ze skrzypkiem Arturem Milianem i wiolonczelistą Krzysztofem Koziatkiem. I w 1992 r. powstał zupełnie nowy zespół Pro Musica Antiqua, gdzie grali ze mną: oboista Jerzy Szafrąński, fagocista Wojciech Orawiec i klawesynista Leszek Kędracki, który grał z nami przez cztery lata, po czym poświęcił się pracy pedagogicznej w Akademii Muzycznych w Warszawie i w Łodzi. A po jego rezygnacji udało nam się znaleźć klawesynistkę Małgorzatę Skotnicką, specjalizującą się w muzyce dawnej.

Wiele się mówi o znaczeniu kameralistyki. Czy nie odnosisz wrażenia, że takie zespoły jak Pro Musica Antiqua wciąż zbyt rzadko odnoszą sukcesy?

Jest to problem szerszy, dotyczy całej współczesnej kultury muzycznej. Jeśli chodzi o Polskę, to flet cieszył się uznaniem przede wszystkim jako instrument

solowy. Zdecydowały o tym osiągnięcia całej grupy artystów i zarazem profesorów Akademii Muzycznych, do których należą: Barbara Świątek-Żelazny, Antoni Wierziński, Kazimierz Moszyński. Ale to podejście cechuje także kolejne pokolenie artystów, którego najstynniejszą reprezentantką jest Jadwiga Kotnowska, też jest już profesorem Akademii w Bydgoszczy, a także należący do zupełnie młodego pokolenia Łukasz Długosz. Wszyscy oni mają znakomite osiągnięcia jako artyści i jako mistrzowie kolejnych pokoleń solistów. Natomiast w kameralistyce brak jest osobowości, które miałyby wykrystalizowaną tożsamość artystyczną.

Zespół odniósł sukces w czasach trudnych. Nie było pieniędzy na kulturę i edukację, a mimo to muzyka kameralna w Olsztynie rozkwitła. Na czym polega tajemnica tego sukcesu?

Mamy dzisiaj problem z ocenami. Nie widzimy różnicy pomiędzy muzyką profesjonalną i amatorską. I to jest poważny błąd. Słabo wykształcona publiczność przyjmuje każdy kicz. Propagowanie wartościowej muzyki wymaga wielu elementów, które składają się na cały system. Tak właśnie działał nasz zespół — łącząc działania promocyjne, edukacyjne i artystyczne. Bez potwierdzania, bez ciągłego podkreślania jak drogocenne są dobra kultury, trudno jest osiągnąć społeczne uznanie.

Kadencja na stanowisku dyrektora Filharmonii Olsztyńskiej i dalsze przedsięwzięcia organizatorskie były kontynuacją tych działań?

Seria koncertów Panorama Świata z udziałem artystów wywodzących się z prezentowanych krajów powiązana była z wizytami ambasadorów. Było to wydarzenie przekraczające granice typowego koncertu. Kontynuowałem to później, kiedy byłem pełnomocnikiem prezydenta Elku, organizując między innymi Mazurski Festiwal Sztuk, Kultur i Narodów, powstanie szkoły muzycznej II stopnia, szereg działań artystycznych i prezentacji. Wielokrotnie przekonałem się, że propagowanie muzyki wcale nie musi oznaczać rezygnacji z ambicji artystycznych. Wręcz odwrotnie — jeżeli stworzymy odpowiednie podstawy, to właśnie wysoka jakość artystyczna spowoduje, że nigdy nie utracimy zaufania publiczności.

Czy chcesz przez to powiedzieć, że publiczność jest w tym wszystkim najważniejsza?

Zdecydowanie tak! Gdyby nie publiczność, to po co mielibyśmy to wszystko robić? Jeżeli dzisiaj nie będę w formie, to nikt nie powie, że wczoraj pięknie grałem, tylko że dzisiaj zagrałem słabo. I z tego punktu widzenia każdy koncert jest jak egzamin. I nie tylko koncert. Każdy dzień jest egzaminem. I powinniśmy zrobić wszystko, żeby ten egzamin zdać jak najlepiej.

Dziękuję za rozmowę.

8

8 VariArt 04/2017

8

8

8

8

8

8

8

8

8

8

8

8

8

8

8

8 VariArt

8 VariArt

8 VariArt



8 VariArt

OLGIERD DZIECHCIARZ

Pobudka (fragment powieści *Grzebanie*)

To wtedy wszystko się zaczęło. A nim się zaczęło, było bez sensu, nieciekawie i nudno; coś, co od dawna cuchnęło i najwidoczniej gniło od środka, wreszcie zdechło. Panowało ogólne przeświadczenie, że tego trupa już się nie ożywi i nie pozostaje nic innego, jak go po cichu pogrzebać. Znaleźli się wszelako tacy, którzy usiłowali go wskrzesić. Zawsze się znajdzie jakiś Chrystus. Koniec końców jednak system wiecznej szczęśliwości pierdolnął w kalendarz dnia czwartego czerwca i nudno być przestało. Pamiętam to tak dobrze jak pierwszy dzień w szkole, pierwszą miłość, trzecią miłość, pierwszy seks i ostatnie skurwysynstwo, jakiego doznałem, bo na nie w całej rozciągłości zasłużyłem; ludzie wyszli na ulice, ale już nie po to, żeby protestować, nic z tych rzeczy; wyszli, bo chcieli wyjść i w końcu mogli, wszak nikt im już tego nie mógł zabronić. I dlatego wszędzie ich było pełno – może mieli dość gnuśnienia w czterech ścianach, patrzenia w telewizor, który służył do kłamstw, matactw i usypiania. Ulice, place, każdy kawałek wolnego miejsca w miastach zapełniły stoły, stoliczki, jakieś blaty, łózka polowe, rozłożone plandeki czy koce, albo samochody z otwartymi bagażnikami; jakby pół Polski pozbywało się gratów; ale to nie było to: po prostu pół Polski chciało sprzedać, a drugie pół kupić – szło wszystko, bo wszystkiego brakowało. A potem zamiana, ci, którzy kupowali, uznali, że przecież oni też mogą sprzedać, myśleli i tłumaczyli sobie: „Co to, my jesteśmy gorsi, nie mamy drygu, nie nadajemy się?! A gówno! Pokażemy, na co nas stać, pokażemy, że nie wypadliśmy sroce spod ogona, założymy firmę, kupimy coś taniej, sprzedamy drożej, dołączymy do tych milionów przedsiębiorczych obywateli, którzy tworzą nowy świat!”. Tylko, że akurat ja tego nie chciałem, bo jeszcze nie wiedziałem, czego chcę. To znaczy czasami wiedziałem, czego chcę, zdarzało mi się to nawet w publicznej komunikacji.

Byłem w euforii po zdaniu egzaminów na studia. Jechałem autobusem do akademików na Ligocie. Padało, albo świeciło słońce; czy to ważne, wtedy zdawało mi się, że może być tylko lepiej, że to „lepiej” już się zaczęło, a ten kurewski marazm, niemożność, z jaką się zmagaliśmy, ustępuje niczym rozwiewana przez wiatr poranna mgła nad wrzosowiskiem. Siedziała przede mną, wpatrzona w okno; nie wiem, co przez nie widziała, bo co mogła widzieć przez brudną i dodatkowo zaparowaną szybę? Zerkalem na nią, bo była tego warta; blond włosy, kręcone, być może lokówką, zadarty mały noseć, naturalna śniada cera (kto wtedy znał sztuczną opaleniznę?), wyraźnie zarysowane brwi i jakaś melancholia w oczach, więc przez moment myślałem, że jest na haju.

Postanowiłem coś powiedzieć, skoro milczenie zaczynało być drażniące i zdawało mi się nie na miejscu. Poza tym podobata mi się, a towarzysz Gorbaczow nieustannie powtarzał, że mamy epokę głośności, znaczy jawności, i powinniśmy brać sprawy we własne ręce – swoją drogą mógłby wyjaśnić, jak niby można je wziąć inaczej, to jest w czyjeś? Czując nieomylnie, że to jest także mój czas, postanowiłem w tym autobusie, tej właśnie dziewczynie, ujawnić swoje uczucia. Tylko jak to zrobić? Zacząć jest podobno łatwo, ale tak mówią na ogół ci, którzy nie potrafią skończyć. Sztuka polega na tym, żeby zacząć i skończyć, i to zacząć tak dobrze, że będzie można jeszcze lepiej skończyć. Zacząć tak, że już lepiej nie kończyć, o tak, wielu tak potrafi, ale nie na tym sztuka polega. Tylko od czego by tu zacząć? Przecież nie spytam: „Gdzie jedziesz”, bo wiadomo, gdzie wszyscy jechaliśmy; nie było innej możliwości, został ostatni przystanek, akademiki, ci, którzy nie byli studentami, już wysiedli. A gdyby tak zapytać: „Na jakim kierunku studiujesz?”. Myślałem: jestem studentem pierwszego roku, jeszcze nikogo nie znam, może szukam kogoś ze swojego roku i dlatego pytam. Nie, uznałem, że to nie jest dobry pomysł. Trochę się jednak wstydziłem tego bycia na pierwszym roku. Student pierwszego roku to obiekt drwin i żartów, nie ma więc się czym chwalić. Jeśli ona jest z drugiego, z trzeciego roku, albo – nie daj Bóg – z czwartego czy piątego, to może w ogóle nie chcieć ze mną rozmawiać, gdy dowie się, że jestem pierwszoroczny. Wtedy popatrzyła mi w oczy. Przeciagle, bezwstydnie, jawnie. Nie mogłem dłużej czekać, bo to był ten moment, którego przegapienie mogło mnie drogo kosztować. Nie odrywając wzroku od jej oczu, ruszyłem do ataku.

– Jak się masz? – spytałem, zdając sobie w tej samej chwili sprawę, że tą mało oryginalną frazą wiele nie zwojuję.

Popatrzyła na mnie orzechowymi oczami, w których pojawił się jakiś błysk, jakby jej źrenice były zaopatrzone w migawkę.

– Kiepsko. Mam okres.

Kiwnąłem głową, że rozumiem, choć wówczas jeszcze tak prostych komunikatów ni w ząb nie rozumiałem. Wpatrzyłem się w okno i aż do ostatniego przystanku nie oderwałem wzroku od szyby pokrytej zaschniętym błotem, bo obawiałem się, że musiałbym jeszcze raz spojrzeć w orzechowe oczy blondynki, a na to nie miałem odwagi.

Tak, wtedy się wszystko zaczęło. Wtedy, w tym szalonym tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku, coś szarpnęło i kula ziemiska do tego

stopnia przyśpieszyła obroty, że niejeden odpadł, a większość straciła punkt zaczepienia, ale wcale z tego powodu nie byliśmy nieszczęśliwi, wręcz przeciwnie – otwierały się przed nami niebiosa nowych możliwości. A święty Piotr nie sprawdzał biletów i wpuszczał wszystkich, jak leci.

*

Jak sięgam pamięcią, nigdy nie przepadałem za jazdą pociągami. Niby wygodnie jest nimi podróżować, bo można czytać albo marzyć, myśleć, w ostateczności spać, ale jak tu czytać, marzyć, myśleć czy spać, skoro cały czas ktoś się kręci, szwenda i zawraca nam głowę. Weźmiesz na przykład gazetę, otworzysz na ulubionych kolumnach sportowych, zaczynasz czytać o niebywałych i niewiarygodnych sukcesach naszych sportowców, co cię raduje niepomieranie, bo jesteś patriotą, zwłaszcza w sprawach sportu, a być może wyłącznie w tej jednej kwestii, a tu naraz ktoś zaczyna chrząkać, ktoś inny się przeciska, dajmy na to konduktor, który podczas największego ścisku zaczyna sprawdzać bilety... Tak, czasy się zmieniły, kiedyś konduktorzy mniej przykładali się do swoich obowiązków; ktoś tam rozmawia przez komórkę podniesionym głosem i informuje, z przejęciem niegodnym tej informacji, że jedzie pociągami z punktu a do punktu b, przez punkty c, d, e i f, a teraz właśnie jest w punkcie g.

– No, jadę. No, pociągami, a czym mam jechać, furmanką? Nie, jak zwykle, jest opóźniony, niewiele, trzy minuty. Dopiero ruszył, to gdzie mam być? Odorków jeszcze, psia mać. O, nawet widzę Czeška z butelką, za garażami przy targowisku na Świętokrzyskiej, no więc sam widzisz, że daleko nie zajechałem. Spokojnie. Mało ludzi, same lamusy. Nudy potworne. Nie, nie... Tak, tak. Nie wiem... A skąd, co miałem zrobić, rzuciłem w diabły tę robotę, nie doceniali mnie... I za co to, za te lata harówki? No fakt, popłynąłem, ale wielkie mi męcyje, trzy dni mnie nie było, a Waldek Cebula, ten, wiesz, z taką płaską głową, co to się kiedyś u mnie na imieninach siłował z Maksem i rękę złamał, pamiętasz? No, on, on, dokładnie... No, to on ostatnio, będzie ze dwa miechy wstecz, deżę spokój, tydzień pił i co mu zrobili? A gówno! Nic mu nie zrobili, nawet go nie zwolnili, bo se lewe zwolnienie załatwił... Każdy jeden wiedział, że dostał je od doktora Pustuła, za parę złotych... Ja uczciwy byłem, niczego nie załatwiałem... Jak na spowiedzi... A ten mi mówi, że wylatuję... Tak się wkurwiłem... Dobrze, że mnie odciągnęli... U nas się uczciwych nie ceni... No, trochę jeszcze mnie trzymało... Jakie tam cztery promile... Dwa z hakiem miałem... Prawie jak nic... Kutas jeden, łacha mi niby zrobił, że dyscyplinarki

nie dał... A kto mu chałupę malował? Tego to, kurwa, nie pamięta... I kto mu teraz pomaluje? A co mi tam... Z pocałowaniem ręki mnie wezmą... Nie wiem, jeszcze nie myślałem... Odpoczywam i nabieram sił... Fachowiec jestem... Trzeba się szanować... Dziadowizna, jeszcze trochę i sam bym tym rzucił... Leję na to sikiem parabolicznym...

Słuchanie takich rozmów podczas podróży wyjąławia mózg i jest męczące. Jest również deprymujące i tym samym skutecznie odrywa człowieka od lektury, marzeń, rozmyślań czy drzemki. Nie wiem, jakim cudem niektórzy ludzie są w stanie publicznie czytać książkę, marzyć o pociągającej sąsiadce, rozmyślać, czy mają u niej jakieś szanse, albo spać, a w tym śnie z tą sąsiadką robić rzeczy, o których nawet nie śmieliby marzyć?! Po prawdzie jeszcze marzyć to chyba można, zwłaszcza jeśli na oku ma się kogoś, kto jest na tyle atrakcyjny, że może stać się obiektem naszych marzeń, dużo gorzej z czytelnictwem. Nie da się czytać w pociągu czy autobusie. Nie idzie się skupić! Tak, już chyba seks łatwiej uprawiać w publicznych miejscach. W telewizji, w Internecie pełno seksu, sto, tysiąc, milion razy więcej niż programów o czytelnictwie. Że co, że analogia naciągana? A czy nie widać podobieństwa? Porno i programy o książkach nadają po północy! Czy to nie jest czytelna analogia?!

Znów rzuciłem okiem do prasy. O, jest o wielkich sukcesach naszych siatkarzy. Ojciec lubił siatkówkę, nie był wysoki, ale lubił grać w siatkę, nawet w późnym wieku – może w ten sposób sobie poprawiał samoocenę? Chyba nawet nie musiał, bo w jego czasach skromne 172 cm to było coś, dlatego mu napisali w dowodzie „Wzrost: wysoki”. Może na palcach jeszcze stanął... A może po znajomości? To komuna była, głęboka jak kopalnia w Wieliczce, więc wtedy wszystko się po znajomości załatwiała. Jak widać nawet wzrost sobie można było załatwić. Jeden ze 172 cm był średni, a drugi wysoki. I co, niby tacy sami, a różni. Na papierze miał, że jest wysoki, to mu mogli skoczyć. Tak, komuna to był dobry czas dla ludzi zaradnych i sprytnych. Zresztą każdy czas jest dla nich dobry. A najlepszy to kapitalizm. No, teraz to ci sprytni tak rozwinęli skrzydła, że innym zasłonili słońce i pozostałe gwiazdy. Gównu widać, to znaczy widać jedynie gówniane perspektywy. Szkoda gadać i to gadanie spisywać.

Znów zanurzyłem nos w gazecie, oczyściłem mózg, żeby móc chłonąć wiadomości ze świata i z kraju. Mnie najbardziej te krajowe interesują, bo wprost syć się sukcesami naszych kolejnych rządów i ich światłych przywódców. Dobrze, że tacy mądrzy ludzie nami rządzą. O tym naszym premierze to w ogóle mówią,

WOJCIECH BANACH WIERSZE

Planetoida

Między 7 a 9 stycznia bieżącego roku
niepostrzeżenie nawet dla naukowców
sporej wielkości planetoida zbliżyła się do Ziemi
Minęła nas w połowie odległości
od Księżyca czyli o włos Boga
Jedliśmy w tym czasie codzienne posiłki
rodząc się i umierając Chodziliśmy
koślawymi chodnikami i po oznaczonych
przejściach dla pieszych
pewni że jeżeli nie jesteśmy pod wpływem
określonych substancji
zachowujemy wystarczającą ostrożność
i nie łamiemy prawa
— nic złego nas nie może spotkać

Poruszała się bez rozgłosu i ostrzeżeń świetlnych
jakby nie była ciałem uprzywilejowanym
a powściągliwość i dyskrecja ekspertów
nie pozwoliła na poznanie rozmiarów
potencjalnego kataklizmu

Było cicho i fajnie
jak to zazwyczaj bywa przy
niespodziewanym zbliżeniu
więc nikt z nas
zwykłych zjadaczy informacji gazetowych
nie oszalał ze strachu
że kończy się nasz mały kruchy świat
stawiany pieczołowicie z talii kart
dobrego i złego
pomysłu na przetrwanie

Misja

Żeby nie zonglować wielkimi literami
i naiwnymi pojęciami Pamiętaj po co tu jesteś Tu
przy tym wierszu Między szafą biblioteczną
a biurkiem W ostatnim pokoju mieszkania
na trzecim piętrze ostatniej klatki
schodowej bloku Na małym osiedlu miasta
wojewódzkiego średniej wielkości W kraju
średniej wielkości starego kontynentu Na
planecie uważanej przez mieszkańców
za gwiazdę utożsamianą ze światem którego
istnienie we wszechświecie trudno zauważyć
W każdym z wymienionych miejsc żyją
przecież twoje lustra stworzone
na obraz i podobieństwo modelu dawno
opracowanego i zrealizowanego Otrzymałeś
dar słowa i mimo bólu musisz postarać się
aby ten łańcuszek trwał i wszyscy
trwający przy nim nie czuli się skuci
a jedynie osłonięci i uszczęśliwieni twoim
wierszem Twoją chwilową bardzo
chwilową obecnością Więc
wykorzystaj swoją jedyną (szef powiedział
że nie będzie drugiej kolejki) szansę na
uratowanie choć cząstki wszechświata

że go do Brukseli chcą wziąć, na komisarza. Bardzo proszę, my się w Polsce
umiemy dzielić, nie jesteśmy tacy, że tylko pod siebie. A bierzcie go sobie,
proszę bardzo, jeśli tylko chcecie, dajemy go wam i jeszcze paru wam możemy
dorzucić w promocji — z której tylko partii chcecie, możecie wybierać, bo one
wszystkie po jednych pieniądzach. Bierzcie, jeszcze wam doptacimy.
Albo ten artykuł o niedocenianiu naszych naukowców. Podobno są lepsi od tych
z Zachodu, tylko że kto u nas w to wierzy, że oni lepsi, skoro u nas siedzą
i robią te swoje doświadczenia. Każdy głupi wie, że jak ktoś jest dobry, to stąd
ucieka i robi karierę na Zachodzie, tylko nie na zmywaku, a w jakimś zarządzie,
łapiąc intratną posadę, zapewne czyimś kosztem, bo to zawsze to jest czyimś
kosztem...

— Wolne? — spytała młoda dziewczyna, rozpraszając mi myśli.

Było wolne, a ona była młoda i ładna — bardzo szczupła, ciemnooka brunetka, z delikatnym puszkciem nad górną wargą, na oko 18-letnia — więc odpowiedziałem:

— Wolne, do wyboru, do koloru... — zaproponowałem, choć nie do końca byłem precyzyjny, bo siedzenia były w tym samym kolorze, bordowym.

Usiadła i natychmiast wyjęła telefon ze słuchawkami, zamontowała je w uszach, a potem zaczęła stukać na tym telefonie. Przyznaję, niewiele rzeczy tak mnie irytuje jak ludzie, którzy mnie zauważają i męczą swoją obecnością. No tak, ale jest coś, co mnie wkurza jeszcze bardziej — ludzie, zwłaszcza przystojne kobiety, niech będą nawet dziewczyny, które mojej obecności nie zauważają, czy wręcz w mojej obecności zachowują się, jakbym nie istniał, jakbym rozpuścił się w tym nagrzanym powietrzu wypełniającym wnętrze pociągu. Siedzą wpatrzona w te swoje telefony, jakby we własną duszę patrzyły i nie dowierzały, jak mało jest skomplikowana. Są, a jakoby ich nie było. Zajmują miejsce w czasoprzestrzeni, ale są przy tym zupełnie niepotrzebne; przemkną przez życie i nawet go nie zauważą, chyba że ktoś nimi wstrząśnie, powie im, trzymając je za ramiona, powie im prosto w twarz:

— Obudź się, dziewczyno!

Tak właśnie zrobiłem. To była wielka pokusa, a jak wiadomo, najlepszym sposobem na pokusę jest ulec jej, więc uległem. Złapałem ją, tę czarnooką brunetkę z biustem dwójeczką, chwyciłem ją za ramiona i w twarz powiedziałem (mając nadzieję, że nie zrosiłem jej oblicza kropelkami śliny):

— Obudź się!

Zatrzepotała rzęsami. W jej oczach dostrzegłem przestrich, jakbym patrzył

przez wizjer karabinu snajperskiego w oczy łani. Wyjęła pośpiesznie słuchawki z uszu i wysapała:

— Co?

Przyznaję, nadzwyczajnie inteligentna nie była, ale przecież tego mogłem się spodziewać.

— Obudź się! — powtórzyłem.

Zmarszczyła czoło, coś jej nie pasowało w moim przekazie.

— Nie śpię. Słucham Katy Perry!

Powinienem załamać ręce, wycofać się rakiem i poddać ogólnej niemożności, bo zadanie było poważne, raczej ponad siły normalnego człowieka, znaczy ponad moje siły. Ale mierz siły na zamiary, nie zamiar podług sił — uczył wieszcz.

— Nie masz zwyczaju patrzeć ludziom prosto w oczy? — spytałem prowokacyjnie. Dało się dostrzec, że traciła do mnie cierpliwość. Teraz ci młodzi momentalnie tracą cierpliwość. Wołają się wsłuchać w idiotyczne reklamy podpasek i syropu na kaszel, niż porozmawiać z kimś — na przykład o sensie życia. Może w tym temacie akurat mają rację, bo jakież jest ten sens życia? Żaden sensowny, lepiej po prostu zwyczajnie sobie żyć i o sensie nie myśleć, ani nie rozmawiać, bo to mielenie powietrza, które nie przyniesie żadnego pożytku, a jedynie strapienie.

— Nie rozumiem... — jęknęła.

Zaczęła się zbierać.

— Tak, uciekaj, uciekaj przed życiem, przed światem, przed sobą!

— Pan zwariował? — spytała nagle i na chwilę wstrzymała się z pakowaniem swoich rzeczy do torebki.

— Nie, ja tylko chciałem zwrócić twoją uwagę... Chciałem ci powiedzieć, że tak nie wolno, tak nie powinno się robić...

cd. str. 26

OLGIERD DZIECHCIARZ — poeta, prozaik, felietonista, bloger i dziennikarz. Autor ośmiu tomów wierszy, ostatni: *Mityfikacje* (2016, wydany pod pseudonimem Tytus Żalgirdas), pięciu tomów opowiadań, ostatnio: *Pakuska* (2014) oraz dwóch powieści: *Wielkopolski* (2012) i *Małopolski* (2013). Prezes Fundacji Kultury AFRONT, redaktor naczelny kwartalnika literacko-artystycznego „Afront”.

Plac Wolności

Krzysztofowi Derdowskiemu
No więc masz ten swój ulubiony Plac Wolności
Z szeregiem kwiaciarenek Z bezpośrednim
dostępem do kościoła (otwarte w niedziele i święta)
parku publicznego szaletu (zamknięte w niedziele
i święta) Ze śladami po trybunie honorowej
Z przerobionym kolejny raz pomnikiem (gdzie wdzięczność?)
Z widmem monumentu Stalina Co z nim zrobisz?
Już nie jest miejscem radosnych pierwszomajowych
(to idzie młodość) demonstracji ani późniejszego dialogu
z ZOMO Przestał być przystankiem kibiców
nasłuchujących pod szarymi głośnikami sukcesów szóstki
biało-czerwonych w gonitwie o wielką nagrodę
Trybuny Ludu Neues Deutschland i Rudeho Prava
Gdzie są te tytuły czerpiące natchnienie z Prawdy
i tylko z tej prawdy Nic nie zostało
Teraz najwyżej możesz przysiąc się do towarzystwa
na ławce Być posądzonym o chęć udziału
w płaszczyźnie porozumienia homoseksualistów
lub spożyć jakąś zagadkę z papierowej torby
(tu siedzi starość) Nawet postój taksówek wyniósł się stąd
więc co Ci po takim placu
i takiej wolności?

Pan jest stary i ja stara

więc nie wypada żebym brała te pieniądze
bo oboje potrzebujemy pomocy —
powiedziała kobieta poszukująca
w pojemnikach odpadków nadających się jeszcze
do konsumpcji kiedy usiłowałam wręczyć jej banknot
i namówić do zakupu świeżej żywności
w pobliskim sklepie spożywczym
Od pewnego czasu znałam ją z widzenia
podczas swoich wieczornych wycieczek
dla zdrowia i porządku do śmietnika i z powrotem
— A jakie znaczenie ma tu nasz wiek —
próbowałam polemizować — nalegam aby
pani wróciła do smacznego
i zdrowszego trybu
— My w życiu już swoje zjedliśmy i mimo to
dalej żyjemy więc mamy za co
chwalić Boga choćby tylko z tego powodu a reszta
nie liczy się na tym świecie
a na tamtym będzie inaczej
ale jak już pan daje — wezmę
żebyśmy rozstali się w zgodzie
bo wiem że każdy ma coś jeszcze
do załatwienia i uważa to za najważniejsze —

Inna wersja

Kto nam tak urządził te światy
ze wspólnym znakiem Zodiaku
horoskopem również chińskim
murem Wspólnym lecz kolczastym

Kto nam to życie zawiązał
w dwie pętle Nawet nie w węzły
Tego żaden miecz nie przetnie
ogień nie spali ludzie nie pomogą

Kto nam czas przestawił
boleśnie i kazał wierzyć
że wszystko jeszcze można
cofnąć i powtórzyć w innej wersji

Tak czy inaczej — musiał być
mędrce bo znał zasadę
że bez cierpienia i ofiar
nie ma smaku zwycięstwa

Wątpisz — czy był mędrce —
skazując na cierpienie
Uwierzę w kobiecą intuicję
jeśli masz inny pomysł na miłość

W SAMYM ŚRODKU – GALERIA VARIARTA

Panorama Reszelska

Obrazy w restauracji „Staromiejska”

Pod koniec lat 50-tych do projektowanych wnętrz użyteczności publicznej wprowadzano również sztukę naszych twórców. Pracownie Sztuk Plastycznych, które były instytucjami państwowymi, stanowiły swoistego rodzaju mecenat przydzielający zadania plastynom. Rozporządzeniem wprowadzono zalecenie, aby w projektach wnętrz użyteczności publicznej umieszczać dzieła sztuki plastycznej. W tym czasie rozwój sztuki dekoracyjnej bez tego mecenatu nie miałby szans również w Olsztynie. I tak do projektowanej przez Marka Skurpskiego i Henryka Mączkowskiego restauracji „Staromiejska” powstały panoramy miast naszego regionu. Autorami obrazów byli Henryk Mączkowski i Hieronim Skurpski. Twórcy tak się zagalopowali w malowaniu, że jest trudno odróżnić, który obraz wyszedł spod pędzla którego. W tym okresie powstawały w Olsztynie fantastyczne restauracje „Pod Samowarem” w stylu rosyjskim. Restauracja „Warmińska” vis-à-vis zegara na ul. Partyzantów, cała zrobiona w stylu karczm warmińskiej. Meble ręcznie tam malował Henryk Mączkowski, natomiast Franciszek Borkowski robił metaloplastykę, np. lampy. W „Cocktail Barze” były przepiękne mozaiki żurawi czy flamingów Małgorzaty Korolko. W „Delikatesach” i w aptece przy Starym Ratuszu były również malowidła. W aptece – zioła i rośliny lecznicze. W „Delikatesach” całą ścianę zajmował wielki malunek Henryka Mączkowskiego, a na nim statek z dobrami kolonialnymi, załogą, piratami, wokół rozciągało się morze i palmy. Czy zachował się projekt tego dzieła? W kolejnych latach została zniszczonych większość tych dekoracji, które stanowiły o niepowtarzalności i urodzie naszego miasta. Niektóre może zostały pod warstwami farb, może kiedyś znowu ujrzą światło dzienne i będą zachwycać nas, konsumentów.

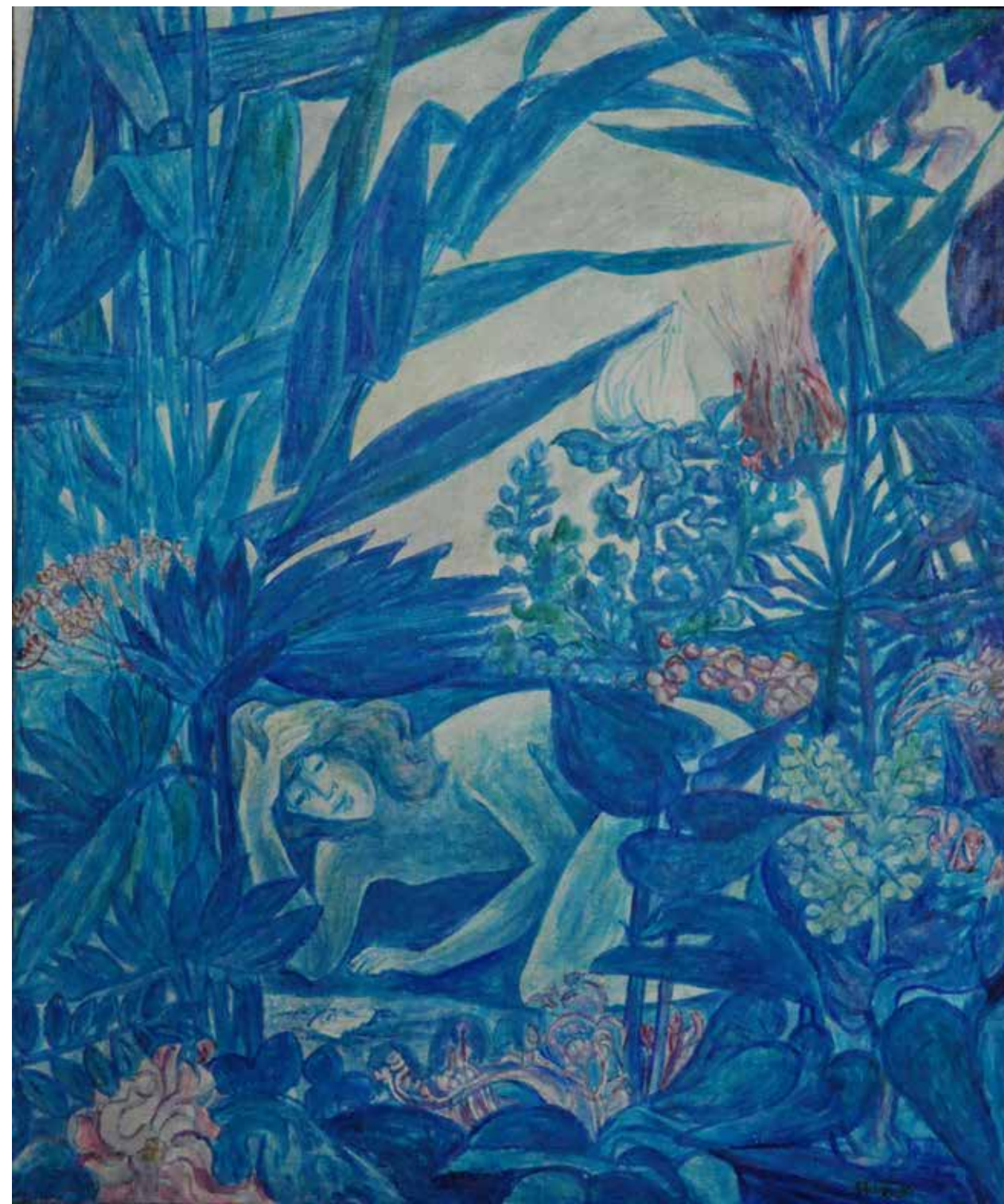
Maria i Marek Skurpscy

HIERONIM SKURPSKI

Obrazy



Reszel, 1960, olej na płótnie, 45 x 55 cm



Narcyz, 1976, olej na płótnie, 55 x 46 cm

MARIA I MAREK SKURPSCY red. IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK

Wspólnota adresu

Zachował się stworzony przez Hieronima Skurpskiego tuż po przeprowadzce do mieszkania przy ul. Warmińskiej 13 rysunek. Taka rysunkowa notatka, tak jak to on często robił. Okno, stół, krzesła. Na jednym z nich kobieca postać, może żona Wacul.

Fundusz Budowy Kraju i Stolicy prowadzący akcję „Cały naród odbudowuje swoją stolicę” przy rozliczeniach pieniędzy pozostałe środki przeznaczył na budowę Domu Środowisk Twórczych w Olsztynie. Budynek miał dwie części: przy ul. Warmińskiej 13 i przy ul. Mickiewicza 2 („dom pod maskami”). Inicjatywa budowy DŚT miała na celu stworzenie warunków do życia i pracy przybywającym do Olsztyna pracownikom i twórców kultury. Część „kompleksu” od ul. Mickiewicza została oddana do użytku w 1966 roku. Mieścili się tam w różnych okresach: restauracja, sala telewizyjna, galeria, sala bilardowo-brydżowa, pomieszczenia dla związków, klubów, twórców, nieduża biblioteka. Na samej górze znajdowały się cztery pracownie plastyczne. Dom Środowisk Twórczych wcześniej miał swoją siedzibę w pobliżu, na ul. Dąbrowszczaków, w „willi pod smokami”. Tam spotykali się głównie dziennikarze i literaci. Nowe miejsce na ul. Mickiewicza miało integrować całe środowisko kulturalne Olsztyna. Nad restauracją były pokoje klubowe poszczególnych stowarzyszeń. To był szpan mieć wejściówkę do DŚT, bo tam nie wchodziło się tak sobie, trzeba było mieć legitymację – podstemplowaną, ale przede wszystkim trzeba było znać panią Kazię. Pani Kazia, która urzędowała w szatni, kierowała ruchem, wpuszczała i wyrzucała towarzystwo, dbała o garderobę gości. A to przyszyła obluźowany guzik, a to coś zszyta. Ale to już jest całkiem inna historia.

Pracownie plastyczne przydzielone zostały Heniowi Mączkowskiemu, Wiesławowi Wojczulanisowi i Sylwinowi Mydlakowi. Ostatnią pracownię dzielił mój teść z moim mężem. Anegdota, które krążyły, mówiły o tym, że w naszej pracowni był wywiew z sali klubowej i doskonale było słychać, jak gra orkiestra. W pracowni Wojczulanisa można było usłyszeć, o czym kto zamawia, bo wywiew był nad samym bufetem. U Mączkowskiego z kolei można było poznać wszystkie komentarze kucharek i personelu dotyczące tego, kogo trzeba wynieść, kto już odpadł.

Część „kompleksu” od ul. Warmińskiej był to budynek mieszkalny. Oddano go do użytku w 1965 roku. Nasz dom jest dla Olsztyna specyficzny w sensie historycznym, ponieważ bardzo wiele znanych osób mających wpływ na kulturę miasta tutaj mieszkało. Nad prześwitem, bramą, początkowo była to klatka

„a”, znajdowały się mieszkania rotacyjne dla pracowników teatru. Pamiętam doskonale, bo jesteśmy tu od samego początku, jak było to wykorzystane, jeszcze za czasów Sewruka. Młodzi aktorzy ściągani do teatru byli tutaj kwaterowani. Zresztą bardzo sobie to miejsce cenili. Było blisko teatru. Lokatorzy wymieniali się tam razem ze zmianą sezonów teatralnych. Życie towarzyskie kwitło.

Klatki „b” i „c” zamieszkiwali ludzie kultury. Latem 1965 roku moi teściowie zamieszkali na ul. Warmińskiej. Píše się dużo o ul. Krupniczej w Krakowie, gdzie literaci i działacze kultury mieszkali pod jednym adresem. Myślę, że nasza Warmińska 13 spełniała dla Olsztyna rolę takiej Krupniczej. Dom był rzeczywiście fascynujący. Na dole w klatce „b” mieszkał Janusz Przybylski, dyrygent. Naprzeciwko mieszkał pan Edward Martuszczyński, literat. Na pierwszym piętrze zakwaterowani byli aktorzy: Wanda Bajerówna ze swoim mężem, a po przeciwnej stronie dozorca domu. Drugie piętro zajmował Bohdan Głuszcak, reżyser oraz Bolestaw Marschall, rzeźbiarz, później chyba państwo Burakowscy, bibliotekarze. Na ostatnim piętrze mieszkała pani Ula Kucharzewska, aktorka Teatru Lalek, która później wyjechała do Niemiec. Drugie mieszkanie zajmował pan Lucjan Czubieli, historyk sztuki, konserwator zabytków. Klatka „c” była zamieszkała, począwszy od parteru, przez panią Iżę Garglinowicz ze Szkoły Muzycznej, Leonarda Turkowskiego, literata, który miał kwaterunek obok, pana Waltera Późnego, wiceprzewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej w Olsztynie, który mieszkał na pierwszym piętrze. Naprzeciwko Późnego mieszkanie zajmował Władysław Gębik z żoną. Na drugim Hieronim i Wacław Skurpscy, obok zaś mieszkali wykładowcy WSR, najpierw pan Bierkowski, później Rutkowski, obaj humaniści. Trzecie piętro zajmował Romuald Odoj, a po drugiej stronie Eugeniusz Zawadzki, kierownik Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Olsztynie. Pamiętam z lat sześćdziesiątych, że odbywały się tutaj takie „kapciowe” spotkania. Tak można nazwać te spacer z parteru od Turkowskiego, z przystankiem u Późnego i Hieronima, aż do Odoja. To były ciągłe nieformalne rozmowy wynikające ze wspólnoty adresu i zainteresowań. Telewizja nie była jeszcze tak powszechna, wobec tego komentarze dotyczące życia społecznego, politycznego, kulturalnego pozwalały interesująco zapoznawać się z tym, co się dzieje. Gdy Hieronim przeszedł na emeryturę, Warmińska stała się takim dobrym adresem w centrum miasta, gdzie na rozmowę wpadali ludzie kultury. Poza tym Hieronim sam organizował spotkania towarzyskie wokół siebie – albo w pracowni, albo tutaj w mieszkaniu. Lubił otaczać się ludźmi.

Rysunek Hieronima Skurpskiego (1965 r.) z archiwum Marii i Marka Skurpskich



Bywała u teściów Anna Kochanowska, zresztą telefoniczne rozmowy z nią to był cwieczorny rytuał. Bywała tu Krystyna Koziełło-Poklewska, która miała właściwie wyłączność na pisanie wstępów do katalogów i wystaw Skurpskiego. Bywali bardzo różni znajomi, np. dziennikarze, jak: Marek Barański, Ewa Mazgal czy Mazurzy, również Ci, którzy wyjechali z Polski. Bywali twórcy z zagranicy: z Danii, Szwajcarii, Austrii. Mieszkanie to żyło i można powiedzieć, że było takim miejscem opiniotwórczym.

Zanim się wszyscy przeprowadziliśmy na Warmińską, mieszkaliśmy razem u teściów w służbowym mieszkaniu na zamku. Było to kilka pomieszczeń, o łącznej powierzchni około dwustu metrów, znajdujących się w obecnych pokojach dyrekcji muzeum. Warunki mieszkaniowe były nieporównywalne. Przeniesienie się do dwa razy mniejszego mieszkania, na sześćdziesiąt metrów, było trudne. Meble, które teściowie zakupili po 1945 roku od komisji likwidacyjnej mienia niemieckiego, zupełnie nie pasowały do „znormalizowanych” pokoi przy Warmińskiej. Kredens, stół, kanapa, krzesła – wszystko to było na skalę tamtych pomieszczeń. Mój mąż Marek wychował się na zamku. Rodzice przyjechali z nim w kwietniu 1945 roku. W 1947 roku urodziła się tam siostra męża – Hania, a ostatnią osobą, która w pewnym sensie przysła na świat na zamku, jest nasza córka. W 1965 roku w listopadzie rodzice mieszkali już na Warmińskiej. My jeszcze likwidowaliśmy tamto mieszkanie i ja z zamku trafiłam prosto do szpitala. Chyba jestem obecnie jedyną osobą w Olsztynie, która ma dowód z zameldowaniem ul. Zamkowa 2. Zachowałam go sobie. My, jako młode małżeństwo, najpierw pomieszkiwaliśmy w pracowni. Tam właściwie nie było warunków mieszkaniowych, chociażby ze względu na wspólną toaletę, ale jakoś dawaliśmy radę. Później mieszkaliśmy na ul. Wyszyńskiego na osiedlu, gdzie było widać matki pchające wózki, starsze osoby siedzące na ławkach. To były jedyne atrakcje z życia domu. Natomiast tu na Warmińskiej, wyglądając na plac Konsulatu Polskiego, obserwujemy życie miasta. Tym się różni mieszkanie w blokach od mieszkania w tkance miejskiej.

Mieszkanie przy Warmińskiej odziedziczyliśmy po teściach. W saloniku za czasów Hieronima była biblioteka, którą przekazaliśmy w całości do muzeum. Tutaj odbywały się wszystkie przyjęcia i rozmowy. Wszystko było założone książkami. Najważniejszym przedmiotem był usytuowany na półce bibliotecznym telefon i ustawiony obok fotel Hieronima. To było miejsce najbardziej okupowane. Hieronim w jednym z małych pokoiów miał swoją pracownię malarską.

Z czasem, gdy my przenieśliśmy się do swojego mieszkania, on zaczął korzystać w pełni z pracowni przy Mickiewicza. Miał swój rytm: o godzinie 10.00 brał kanapeczkę zapakowaną przez Waculę i wędrował do pracowni, gdzie malował do godziny 14.00. Robił tak regularnie, stąd ta gigantyczna liczba jego rysunków, bo rysowanie traktował jako rodzaj notatki. To były takie zapiski z aktualnych wydarzeń. Jednocześnie, już mniej regularnie, pisał pamiętniki – dzienniki, które Koziełło-Poklewska później opracowywała. Z rzeczy, które zostały po Hieronimie i jego czasach zamkowych są fotel i kanapa. Meble te mogłyby dużo opowiedzieć o tym, kto na nich zasiadał i sypiał, od Tadeusza Przytkowskiego i Wojciecha Żukrowskiego począwszy. Nie wiem, dlaczego moja teściowa nie prowadziła księgi gości. To dopiero byłaby wyjątkowa rzecz. Ważną pamiątką w mieszkaniu są przede wszystkim prace Ojca. Najbardziej cieszy nas cykl reszelski, mamy trzy obrazy.

Jak na lata, kiedy budynek na Warmińskiej powstawał, był on pod względem architektonicznym dość nowoczesny, a w wyposażeniu wręcz luksusowy. Plotkowano o nim, bo mieszkania w naszym pionie miały kuchnie, łazienki i sanitariaty wykładane kafelkami. Wtedy był kłopot, żeby dostać coś takiego, a tu były mieszkania już wyposażone w takie rzeczy. Kolejną kontrowersją są balkony. Mieszkania w naszym pionie posiadają aż dwa, z obu stron budynku. Z punktu widzenia warsztatowego myślę, że projektant chciał w ten sposób wyraźnie zakończyć elewację jakimś konkretniejszym akcentem. Ich mankamentem jest to, że są bardzo wąskie. Dom został teraz odnowiony, odświeżony. Szkoda, że z elewacji od ul. Mickiewicza zniknęły rzeźby Marschalla – medaliony symbolizujące dziedziny sztuki. Od tych płaskorzeźb wzięła się nazwa „dom pod maskami”. Rzeźby te chciano wyeksponować w parku na podzamczu, ale na razie czekają „gdzieś” na swoje nowe przeznaczenie.

Każde miasto ma swoje punkty charakterystyczne. Ludzie tam mieszkający odczuwają dużą różnicę w stosunku do pozostałych miejsc. Takim punktem jest plac Konsulatu Polskiego i dom przy ul. Warmińskiej 13.

JERZY LENGAUER

Moje życie, moje czasy – Ernst Wiechert

Wiechert w swojej autobiografii zaczyna od własnych związków z Prusami Wschodnimi, które pojawiły się jeszcze przed jego urodzeniem. Potem zwracają uwagę relacje autora z ojcem, zasiedziały w leśniczówce, potem na wsi, wśród łąk i pól, nad brzegami jezior. Z łączącej obu Wiechertów linii genetycznej i wychowawczej wyrasta leśny sowizdrzał. Włóczęga, który nad czerpanie ekonomicznych korzyści z otoczenia przedkłada uniesienie, pomieszanie panteizmu i humanizmu, poezję, spokój. Mnóstwo w autobiografii fragmentów, które na to wskazują, podkreślają uczucia, jakimi młody Wiechert darzy lasy pomiędzy Mrągowem (niemieckie Sensburg) a Rucianem-Nidą (przed II wojną światową Rudczanny). Píše tak: *towarzyszyło mi jednak trochę uczucia uniesienia i ekstazy, kiedy wracałem do bliskiego mi otoczenia (...). O ile miłszy dla ucha stawał się szum wierzchołków drzew w porównaniu z wszelką muzyką słyszaną w mieście. Długo też mogłem leżeć we mchu, przytulając twarz do ciepłych, drobnych roślin.* Jego powroty po pobieraniu nauk w gimnazjum, po studiach, po pierwszych dorosłych obowiązkach zarabiania poza rodzinnym domem w Królewcu i nad Zatoką Kurońską zawsze kończyły się wyrażaniem w taki właśnie sposób emocji przesiąkniętych tęsknotą i melancholią. W mazurskich lasach, tuż na skraju Puszczy Piskiej, wielokrotnie dochodzi do połączenia Wiechertowskiego wnętrza i zewnątrz. Prawdopodobnie w jakiś dziwny, niepojęty współczesnemu człowiekowi sposób rodzi się tak humanizm Ernsta, który ulepia go jako wrażliwego poetę i literata tudzież niezwykle tolerancyjnego i wyjątkowo rozumiejącego uczniów i studentów nauczyciela i akademika. Gdy pisarz nieco epatuje czytelnika mnóstwem nazw roślin i ptaków (ogromne wrażenie wywołują co rusz wplecione literackie opowieści, gdzie niczym Reymont w *Chłopach*, Myśliwski w trylogii wiejskiej albo Thoreau w *Walden* ma-luje na niebie, łąkach, drzewach, morzu, jeziorach mewy, żurawie, czaple, jerzyki gdzieś w oddali, lecące, znikające za horyzontem lub ich głos, wyznaczający porę dnia, porę roku — cykl życia człowieka poza obrębem murów i zgiełku ulic miast), to znajdujemy w tym odpowiedź na jego pytania o wybór drogi życiowej. Być może w tym właśnie czasie rodzi się ledwo dostrzegalny konflikt Ernsta z ojcem, jakaś drobna szara chmurka nad miłością matczyną.

Wiechert nie zamyka się ani w drewnianej chacie na polanie, której dach pokryty jest darnią, ani, przynajmniej na początku, w książkach. Gdy zatrząskują się za nim od środka uniwersyteckie bramy, szuka, przynajnie się, że błądzi, nabiera doświadczenia. Czytelnik tych królewieckich fragmentów autobiografii jest świadkiem drugiego już, po panteistyczno-przyrodniczych wyrażeniach uczuć,

mistrzowskiego pióra Wiecherta, eleganckiego, interesującego, nienudzającego, bez swady, lecz delikatnie dociekliwego i obnażającego opisywany obiekt dzięki wrodzonemu zmysłowi obserwacji, który w połączeniu ze znakomitą interpretacją wyglądu zewnętrznego, zachowań i plotek zanurza czytelnika w świat nie tylko akademicki, lecz także mieszczański. Postaci, o których Wiechert wspomina, to ludzie, których spotyka na swojej drodze: student, nauczyciel, pisarz, podróżnik od Królewca, przez wschodni region nadbałtycki, Berlin, Francję, Szwajcarię, aż po Bawarię. Jeżeli poetyka opisów przyrody, lub raczej ekspresji uczuć autora związanych z mazurską i nadbałtycką naturą, daje obraz świata zastygłego w spokoju, boskim humanizmie, a odgłosy istnienia są anielskimi chórami, kierującymi człowieka na ścieżki tylko wyższych uczuć, to za pomocą portretów ludzkich pisarz przedstawia czytelnikowi swoistą galerię Europy Środkowo-Wschodniej. Autor przeprowadza klasyfikację postaci: geograficzną i klasową przez pryzmat swojej postawy intelektualnej i moralnej, wzorowanej nie tyle na Odrodzeniu i antyku, ile na mazurskim panteizmie. Godnym podziwu jest, że pisarz w ciemnych latach trzydziestych nie przekreśla osób zafascynowanych nazizmem. Dostrzega w nich strony jasne, wydobywa na wierzch, traktuje ich ze zrozumieniem. Podobnie jak komunistów.

Wielokrotnie przy ważnych dla Wiecherta ludziach pojawia się słowo: miłość. Częstotliwość i – z dzisiejszego punktu widzenia – nieadekwatność jego użycia wzbudza zniecierpliwienie, nawet zażenowanie. Wydaje się, że poeta szafuje ponad nią. A powinna być zarezerwowana jedynie dla rodziców, żony, dzieci, kochanki. Cóż, jakże bardzo jesteśmy w dwudziestym pierwszym wieku, Wiechert zaś w dziewiętnastym. O jednym z najbliższych dla siebie mężczyzn pisze tak: *Gdybym nie wytrwał, nie zasłużyłbym na ponowne spojrzenie jego oczu. Nie mogę wyrazić tego inaczej niż w słowach: „Pozostałem w jego miłości, podobnie jak w Miłości Boga”.* Jakże w tym krótkim, prawie erotycznym zdaniu wyraża się powieściowa poetyka sióstr Brontë albo Wilkie Collinsa.

Jak hojnie używa miłości, tak równie zdecydowanie gani. A czasy ku temu szczególnie sprzyjają. Strofowanie jest przepętnione smutkiem, po wielokroć rezygnacją, oczywiście tęsknotą i ucieczkami do lasu, za granicę. Z głupotą, chamstwem, pozerstwem, hipokryzją, obłudą, pogardą w stosunku do ludzi, nienawiścią do otoczenia, butą spotyka się już w środowisku akademickim. I miłość, i humanizm, i wszelkie zło miesza się w pruskim kotle. W początkowych rozdziałach Wiechert ów kalejdoskop moralności traktuje jako zwykłą różnorodność, być może spotkanie

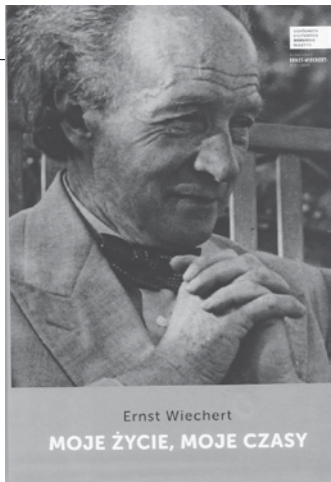
Moje życie, moje czasy – Ernst Wiechert, Stowarzyszenie Wspólnota Kulturowa Borussia, 2016

sielskiej mazurskiej wsi i wielkowiejskości, tudzież snobizmu magnaterii pruskiej. Następnie opisuje w ten sposób schyłek Republiki Weimarskiej i narodziny Trzeciej Rzeszy. Szczególne znaczenie ma tu udział pisarza w pierwszej wojnie światowej i prześladowania w trakcie drugiej, poprzedzone uwięzieniem w obozie koncentracyjnym. W książce poświęca tym okresom najwięcej stron. Tak ogromny przewrót w traktowaniu ludzkiego istnienia (nie wymagający tutaj przecież żadnego komentarza; odsyłam choćby do Primo Leviego, Hannah Arendt, Giorgio Agambena, Güntera Grassa) wywiera straszny wpływ na wrażliwego literata i prowokuje do intelektualnych, moralnych, etycznych i religijnych rozważań podszytych zagubieniem, niemożnością tworzenia lub jego wzmożeniem. W tym czasie pisarz ucieka za granicę, podróżuje, próbuje konfrontować się z nową rzeczywistością, podobnie jak po udziale w I wojnie światowej.

Nigdy na długo nie przerywa pracy pisarskiej. Z niesmakiem wspomina działalność literacką w czasach nazizmu. Przerażająco, jak w opowieściach z okopów roku 1918 o strachu, przed aresztowaniem w latach trzydziestych, czy o lęku o życie w obozie koncentracyjnym, brzmią opisy spotkań autorskich, którym przyglądają się ludzie z czerwono-białymi opaskami na ramionach z szyszczącą czernią swastyką. Ta dramatyczna twoga, tragiczna, obezwładniająca bojaźń spowodowała, że pisarz zakopywał swoje relacje z tego okresu w przydomowym ogrodzie.

Jakże mało w autobiografii jest Wiecherta-dziecka. Być może na blisko czterystu stronach wspomnień znajduje się parę fraz dotyczących kilkuletniego bądź nastoletniego Ernsta. A to przy ojcu leśniku, a to jakieś słowa matki. Czy to wynik chłodnych relacji z rodzicami? Wszak sporo o nich w książce pisze. Szczególnie dużo miejsca poświęca ojcu. Dramatycznie opisuje śmierć matki. Z kolei bardzo zdawkowo traktuje starszego brata, młodszego, zmarłego w 1895 roku, nie wspominając. Może to kwestia dość szybkiego opuszczenia domu rodzinnego i wadzenia się z sobą samym szukającym miejsca do pracy i tworzenia literatury?

Czymś zmącone są u Wiecherta związki z rodziną. W jakimś stopniu zakrywają ponurą mgłą jego pierwsze małżeństwo: *Trudno mi mówić na ten temat, jednak nasze światy — mój i żony — nie dopasowały się do siebie tak, jak sądziłem, co byłoby potrzebne, aby zrodziła się podstawa ogromnego spokoju.* Ów spokój zapewniła sobie Meta Wiechert, trując się po stracie dziecka. Jej grób znajduje się na Mazurach. Nie było ani ciszy, równowagi, pogody, ani zatem miłości. My, ludzie wychowani w czasach względnego spokoju, nie możemy zrozumieć oficerów, wybaczyć mu i nie pomyśleć o Wiechercie jako o samolubnym, egotycznym,



egocentrycznym, wielokrotnie zadowolonym z siebie bohaterze ojczyzny odznaczonym Żelaznym Krzyżem, nauczycielu i literacie szukającym tylko i wyłącznie spokoju, gdy: *W listopadzie urodził mi się syn, ale umarł, zanim go zobaczyłem. W moim domu nie rozumiano, że nie wziąłem wtedy urlopu. Ja z kolei nie rozumiałem, jak można myśleć w taki sposób, szczególnie kiedy umiera bardzo wielu synów i państwo nie ma czasu udzielić urlopu z powodu śmierci.* Ta postawa nie jest amoralna. W jakiś sposób dowodzi braku miłości u Ernsta i Mety. Dopełnia wizerunek pisarza szukającego czegoś innego niż rodzina, dzieci. Przeraża zaś porównanie fragmentów, gdy Wiechert z czułością pisze o swoich przyjaciółach, ludziach bliskich spoza rodziny, poznanych na studiach, w wojsku, do tego nawet nie chłodu uczuciowego, ale jakiejś suchej okrutnie relacji, owiniętej w przekonanie o nieomyślności własnych poczyną...

Ernst Wiechert nie pisze z dokładnością chronologiczną. Daty pojawiają się mniej więcej od lat trzydziestych. Często wraca wspomnieniami do tych samych zdarzeń. Nazwy geograficzne też nie pojawiają się często. Dokładny z kolei jest w historii własnej twórczości. I to gratka dla czytelników zainteresowanych historią powstania utworów, ówczesną sytuacją polityczno-społeczną kraju i emocjonalną Wiecherta, uczuciami autora związanymi z tworzeniem i wydawaniem książek. Niezwykle ważne wydaje się wymienianie imion i nazwisk współczesnych Wiechertowi pisarzy i poetów. To kolejna gratka dla zainteresowanych niemiecką literaturą.

Książka wydawać się może nierówna. Wrażenia, uczucia, afekty, podniety wypełniają całe strony, jakby autor się złościł, smucił, popadał w nie równowagę albo mistyczne uniesienia. Czasami dostrzec można podobieństwo do twórczości Hessego, z którym Wiechert spotkał się co najmniej raz. Bliższa jest takim fragmentom autobiografii *Podróż na Wschód* niż *Wilk stepowy*. Wskazuje to jednak na pewien kierunek dyskutowanych poglądów, który obierały spotkania niemieckich twórców literatury i poezji. Z kolei powojenna beznadzieja, szaleństwo straszliwych przeżyć, lęk przed przyszłością zdają się przywoływać Imre Kertésza, porównywalnego oczywiście nie pod względem doświadczonej przezeń dramatów, ale ludzkiej i literackiej wrażliwości.

IWONA LIŻEWSKA

Towarzystwo Opieki nad Zabytkami w Olsztynie

Towarzystwo Opieki nad Zabytkami w Olsztynie skupia osoby, dla których jedną z życiowych pasji są zabytki, historia, dziedzictwo. Są to zarówno profesjonaliści, dla których podstawowa aktywność zawodowa to za mało, jak i fachowcy innych branż, często ludzie kultury, ale nie tylko, którzy chcą wzbogacać swoją wiedzę i wykorzystywać tak nabyte doświadczenia w codziennym życiu. Chcą również służyć zabytkom, popularyzować wiedzę o nich, sprawować opiekę nad nimi, a wreszcie cieszyć się ich pięknem i autentyzmem w gronie osób podobnie odczuwających.

Olsztyńska placówka jest jednym z kilkudziesięciu oddziałów ogólnopolskiego Towarzystwa Opieki nad Zabytkami z siedzibą w Warszawie, utworzonego jako kontynuacja Towarzystwa Opieki nad Zabytkami Przeszłości. To ostatnie, założone w 1906 roku w Warszawie, położyło wielkie zasługi dla ochrony zabytków zarówno w czasie obu wojen światowych, jak i w okresie II Rzeczypospolitej, jednak nie miało możliwości działania w Polsce Ludowej. Dopiero na początku lat 70. XX wieku powstała możliwość założenia stowarzyszenia będącego spadkobiercą misji przedwojennego towarzystwa. W 1974 roku powstało Towarzystwo Opieki nad Zabytkami, a jego pierwszym prezesem został profesor Wiktor Zin. Organizacja od początku miała swoje oddziały w Polsce, które powstawały w różnych okresach i wykazywały się różnorodną aktywnością.

Oddział olsztyński powstał w 1997 roku. Zebranie założycielskie odbyło się w czerwcu, w skład pierwszego zarządu weszli: Maria Wielgus (prezes), Tadeusz Korowaj (wiceprezes), Ewa Olkowska (wiceprezes), Wiesława Chodkowska (sekretarz), Barbara Kulczyńska-Nowak (skarbnik), Barbara Przybyszewska i Adam Żyliński (członkowie). Od początku była to organizacja skupiająca zarówno zawodowców w dziedzinach związanych z zabytkami i ich ochroną, jak i pasjonatów i miłośników zabytków, wszystkich, którym ta tematyka nie była obojętna. W pierwszych latach działalności na zlecenie

Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków wykonywano inwentaryzację i dokumentację różnych kategorii zabytków oraz organizowano i prowadzono badania archeologiczne, przyjmowano też zadania zlecone z zakresu organizacji wystaw i wspomagania wydawnictw oraz konferencji. W 1999 roku na zlecenie Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków rozpoczęto wydawanie „Warmińsko-Mazurskiego Biuletynu Konserwatorskiego”. Wbrew mylającej nazwie (biuletyn) było to od początku czasopismo, w którym publikowano artykuły i teksty poświęcone zabytkom i historii regionu oraz ochronie i konserwacji tychże. W latach 1999-2003 ukazało się pięć tomów wydawanych w cyklu rocznym. Podejmowano też próby ratowania świadectw przeszłości. Pod koniec lat 90. XX wieku rozpoczęto akcję zakładania lapidarium sztuki nagrobnej przy bazylice św. Jerzego w Kętrzynie (otwarcie w 1999 roku), dzięki inicjatywie członków towarzystwa zakonserwowano też drewniany krzyż przydrożny w Biedowie. Pod koniec pierwszej dekady XXI wieku rozpoczęto digitalizację materiałów pochodzących ze zbiorów Zakładu Architektury Polskiej Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej. W latach 2009-2010 opracowano w formie katalogu i skanów rysunki inwentaryzacyjne i zdjęcia budownictwa drewnianego ze zbiorów profesora Franciszka Piaścika (głównie powiaty szczeciński i piski, ale również Warmia i okolice Pastłeki). W latach 2012-2013 wykonano podobne opracowanie dla zespołu katedralnego we Fromborku. Koordynatorem projektu był Wojciech Wótkowski, młody pracownik naukowy Politechniki Warszawskiej, a zarazem członek Towarzystwa. W roku 2010 zorganizowana została wystawa poświęcona konserwacji i konserwatorom działającym na Warmii i Mazurach „Piękno zakryte — 20 lat konserwacji dzieł sztuki na Warmii i Mazurach”. Pomysłodawczynią i organizatorem wystawy była pisząca te słowa, wówczas już członek Towarzystwa.

Po roku 2010, po pewnej stagnacji, ponownie ożywiła się działalność stowarzyszenia. Znacznie wzrosła liczba członków (z dwudziestu paru osób do

blisko pięćdziesięciu) oraz sympatyków. Związane jest to być może z próbą budowania aktywnego środowiska ludzi z pasją zabytkoznawczą, chętnych do wspólnego poznawania dziedzictwa historycznego, aktywnych i otwartych na nowe kontakty. Wyjazdem do Żyrardowa, Zgierza i Łodzi w czerwcu 2013 roku pod hasłem „Nowoczesność i tradycja — śladami zabytków techniki i przemysłu” zapoczątkowano cykl wyjazdów studyjnych po Polsce i za granicę. Nie są to zwykłe wyjazdy turystyczne czy krajoznawcze. Przemysłany program, pozornie pospolite, a przecież niezwykle miejsca, niedostrzegane zabytki, spotkania z ciekawymi ludźmi, jak w Żyrardowie z właścicielem zrewitalizowanej Starej Przędzalni (wraz z cudownym czerwcowym wieczorem na tarasie mieszczącym się na dachu jednego z budynków, przy lampce wina i opowieściach), niecodzienni przewodnicy, a wreszcie doborowe towarzystwo — to wszystko sprawia, że objazdy te, oferując sporą porcję wiedzy, pozostają na długo w pamięci i w sercu. Z takich wyjazdów studyjnych warto wspomnieć jeszcze wyprawę do Estonii (2015), Meklemburgii (organizowaną przez szczeciński oddział Stowarzyszenia Konserwatorów Zabytków, 2016) czy jednodniowe wyjazdy studyjne w regionie. Należały do nich: w czerwcu 2015 wyjazd do Pasymia, dokąd grupa docierała zarówno środkami komunikacji mechanicznej, jak i na rowerach, i gdzie czekał na nas ksiądz Witold Twardzik, proboszcz parafii ewangelickiej w Pasymiu; a także w czerwcu roku 2016 wyjazd do Reszla i sanktuarium pielgrzymkowego w Stoczku Warmińskim, zakończony ogniskiem i opowieściami o konserwacji w ogrodach klasztornych; w lipcu 2017 roku wyprawa do sanktuariów pielgrzymkowych (Krosno i Chwałęcín) oraz do Górowa Iławeckiego, gdzie w kościele greckokatolickim ozdobionym ikonostasem Jerzego Nowosielskiego o duchowości wschodu opowiadał proboszcz parafii greckokatolickiej ksiądz Jan Łajkosz. Organizowane są też spotkania i spacerki konserwatorskie. W ten sposób, wspólnie z konserwatorami,

odwiedzaliśmy obiekty po pracach konserwatorskich lub w ich trakcie: teatr im. Stefana Jaracza w Olsztynie, kościół pw. św. Wawrzyńca w Gutkowie, klatki schodowe w olsztyńskich kamienicach, bibliotekę „Hosianum” w Olsztynie. O atrakcyjności tych wydarzeń i wrażeniach, które wywołują, świadczyć mogą relacje uczestników zamieszczone w „Biuletynie Konserwatorskim”: z Estonii (nr 7/2015) i Meklemburgii (nr 8/2016). Bo trzeba wspomnieć, że po ponad 10 latach niebytu ten tytuł został reaktywowany. W roku 2014 ukazał się numer 6 i od tego czasu udaje się co roku wydać następny zeszyt. Jest to już nowa edycja biuletynu — wyraźnie zmodyfikowano szatę graficzną, całość podzielona została na działy, które najczęściej są powtarzalne i tworzą wyrazistą strukturę (Analizy/Konserwacje/Historie/Wydarzenia/Zabytek Zadbany/Czytelnia/Kronika TOnZ). W roku 2014 powołany został zespół redakcyjny: Iwona Liżewska (redaktor naczelna), Ewa Gładkowska, Hanna Mackiewicz, Maryla Paturalska, Janusz Pilecki, Joanna Piotrowska, Adam Płoski, który do dzisiaj działa w tym samym składzie. Od dawna planujemy też umieszczanie tekstów z „Biuletynu” wraz z wybranym materiałem ilustracyjnym na stronie internetowej stowarzyszenia, takiej bowiem dorobiliśmy się kilka lat temu (www.tonz.olsztyn.pl). Prowadzenie jej nie jest łatwe, gdyż wymaga konsekwencji i czasu, a z deficytem tego ostatniego zmagamy się wielu z nas. Dlatego proszę o wyrozumiałość użytkowników, gdyż nie zawsze udaje nam się umieścić na bieżąco wszystkie informacje lub systematycznie uzupełniać zakładki. W tym obszarze mamy jednak szczerą chęć poprawy i tak na pewno się stanie. Kilkuletnia działalność i płynące z niej nauki pokazały bowiem, że wolniej czy szybciej, ale udaje nam się z reguły osiągać zamierzone cele. To, co jest jednym z najlepszych efektów ostatnich lat działalności, to stworzenie aktywnego środowiska osób zainteresowanych zabytkami i ich przetrwaniem. Zapraszamy do naszego towarzystwa. Nowe twarze mile widziane.



MONIKA KOWALEWSKA

Wieczność

Pod hasłem „wieczność” w internetowym Słowniku Języka Polskiego PWN zamiast definicji pojawiła się reklama drogiego kremu przeciwzmarszczkowego: „Pozwól naturze zadbać o młodość Twojej skóry”. Niezwykle dogłębna analiza moich preferencji wykonana przez Google zupełnie nie na zlecenie była zaskakująco trafna. Wszyscy chcemy żyć wiecznie. Zawsze młodzi, bogaci i piękni. Bez zmarszczek, chorób i zmartwień. Pytanie tylko, jak to zrobić?

Jak podają źródła internetowe, najdłużej żyjącym na świecie człowiekiem był niejaki Saparman Sodimejo znany też jako Mbah Gotho. Indonezyjczyk urodził się w 1870 roku i zmarł w wieku 146 lat i 4 miesięcy w roku 2017. Swoim wyczynem pobił dotychczasową rekordzistkę, Francuzkę Jeanne Calment, która żyła zaledwie 122 lata i 164 dni. W tym wypadku każdy dzień życia jest na wagę złota, ponieważ w przyszłości o rekordzie mogą świadczyć, niczym w wyścigu kolarskim, zaledwie ułamki sekund. Tym samym pan Sodimejo obalił mit o długowieczności kobiet i szybszym wyczerpaniu sił wiekowych mężczyzn. Niestety z materiałów graficznych wynika, że oboje u schyłku życia byli znacznie pomarszczeni i nieco zgarbieni, zatem ich stan nie napawa optymizmem chcących przedłużyć swoje życie ponad dzisiejszą normę. Powiedzmy sobie szczerze, 146 lat to także nie wieczność, zatem należy szukać recepty gdzie indziej.

Szukają jej m.in. organizacje SENS (Strategie Kontrolowanego Zapobiegania Procesom Starzenia) oraz Methuselah Foundation (Fundacja Matuzalema), które badają procesy odpowiedzialne za starzenie się żywych organizmów oraz ich śmierć. Służy temu także Nagroda Myszy Matuzalema. Wyróżnienie zdobywają naukowcy, którym uda się jak najbardziej przedłużyć zdrowe życie myszy. Aktualny rekord to 1819 dni, czyli prawie 5 lat, co oznacza, że mysz żywot został przedłużony aż o dwanaście miesięcy.

W oczekiwaniu na rezultaty prac naukowców można pomyśleć nad innym rozwiązaniem. Operacja plastyczna, mały zabieg w luksusowej klinice, znacznie poprawia wygląd, przynajmniej na jakiś czas. Po lekkiej modernizacji urody zalecana jest hibernacja, by doczekać lepszych czasów, kiedy nauka osiągnie wyższy poziom. Entuzjastom niskich temperatur naprzeciw wychodzi firma Alcor Life Extension Foundation, która za 200 tys. dolarów oferuje

zamrożenie ciała w temperaturze -196°C w specjalnej kapsule w swojej siedzibie w Arizonie. Firma proponuje ekskluzywne warunki przechowywania – czteroosobowa kapsuła zapewnia prywatność i towarzystwo zarazem. Jest także wersja dla mniej zamożnych: za 80 tys. można zahibernować samą głowę lub mózg. Dla rodziny i znajomych przewidziane są zniżki. Nikt co prawda nie gwarantuje pozytywnych rezultatów, ale czym jest chwila niepewności w ciekłym azocie w porównaniu z perspektywą życia wiecznego?

Dla tych, którzy nie przepadają za chłodem, przewidziane zostały metody nieco bardziej zaawansowane technologicznie. Biotechnologowie pracują nad możliwością przegrania ludzkiego umysłu do „ciała” robota. Dzięki połączeniu technologii i biologii może powstać hybryda, która będzie żyła wiecznie, bez chorób, zmarszczek i starzenia się. Dzięki takiemu problem samotności i śmierci zostanie definitywnie rozwiązany. Rodzi to co prawda problem wiecznej żywej teściowej i tym podobne, ale trzeba przyznać, że propozycja jest kusząca. Fantastyka rodem z filmu „Transcendecja” w reż. Wally’ego Pfistera może niebawem stać się rzeczywistością, dlatego warto rozważyć taki plan na własną przyszłość.

Innym sposobem przeszczepiania świadomości mogłoby stać się klonowanie. W porównaniu z zimną stalową puszką w sklonowanym ciełe moglibyśmy poczuć się niemalże jak u siebie. Dodatkowym atutem jest możliwość wymiany zużytego korpusu na inny – ulepszony, młodszy i piękniejszy. Takie rozwiązanie daje ogromne możliwości. Można byłoby dla zabawy na przykład wymienić się umysłami ze znajomymi albo podziwiać siebie w coraz nowszych odślonach. Gratka dla narcyzów.

Jak widać możliwości, jakie dają nam zaawansowana wiedza i technologia coraz bardziej przybliżają perspektywę wieczności. To, co do niedawna wydawało się science-fiction, dziś powoli staje się realne – wymieniamy swoje części, ulepszamy je, modyfikujemy, przeszczepiamy. W celach zdrowotnych lub estetycznych. A wszystko to po to, żeby choć trochę przedłużyć swoją egzystencję na tej ziemi. 146, 150, 180, ∞ . Ale co tak naprawdę sprawia, że wizja wiecznego życia jest dla nas tak atrakcyjna? I czy wieczność nie popsuje nam smaku życia?

KAJA WILENGOWSKA

Wieczfnia Kość.*

Tchawica, gdzie jest tchawica, to, czym oddycham, powietrze raz, powietrze dwa., tchnij we mnie, natchnij...

Siedzę w strefie pacjentów po wypadkach, wezbrana tłumem strefa, nieznosnie tu śmierdzi, gdyby tu było jakieś okno, jakieś powietrza ujście, daj mi.

Krzesło twarde, plastik, metal, twarde, nieczułe, a gdyby to był fotel miękki, mój domowy, gdyby tu była kanapa, albo chociaż szezlong. Daj mi.

Sam siedzę, dwie ręce, obie we krwi, skostniałe, nieczułe, a gdyby tu były inne ręce, Twoje, miłe, delikatne do kieszeni wejdą i wyjmą dowód, telefon, a gdyby tu były dłonie, daj mi.

Światło jest jasne, zimne, nieludzkie, patrzę na nie i skupiam się całkiem.

Jak to było... wdech, wydech, siedzę przecież, oddycham.

Tłoczno. Pielęgniarki, lekarze, pacjenci, krzątają się, jak to w szpitalu. Siedzę, czekam na decyzję, co ze mną. Bardziej na Ciebie czekam, aż słyszę tak blisko, do ucha prawie jazgot chropawy:

— Tego Pana to na chirurgię wieźcie, raz, raz, operacyjną trójkę szykują, wieźcie!

Sanitariusz i pani sanitariusz pchnęli mnie na łóżko, takie na kółkach, wiesz, a potem do windy. Winda bez lustra, silna, jedziemy na drugie. Będą szyć mnie, albo kroić, coś będzie, dużo krwi będzie, jedziemy... Krwi mało już mam, daj mi. Jedziemy, psia krew, jedziemy na operacyjną. A gdybyś tu była... Mój duch nie chciałby wyzionąć.

— Spokojniutko, Pan oddycha, może się zakręcić w głowie, ale spokojnie, życzymy słodkich snów...

We śnie było słodko, pachniał jak ciastko albo Galeria Mokotów. Nie mogłem myśleć, tak słodko mną kołysało, lewa burta słońce, prawa burta... słońce... Oni mnie będą teraz kroić, a ja... lewa burta słońce, prawa, kołysze... słońce... chciałoby się zapiąć pasy... nawet we śnie...

Potem to już z górki... śniłem erotycznie...

O twoich cyckach, brzuchu i wszechświecie Twego ciała. W tym beczcasie, który tylko my znamy i nikt nie ma przecież tak wspaniałego seksu, no nikt nigdy, przenigdy, tak śniłem. Takich łśniących dłoni, takich wewnętrznych uścisków i pieszczot takich, że hej, nie umiem mówić, wiesz jak jest, to nasz tajemny język.

A potem zeszała ze mnie, bo zadzwonił telefon, wszystko pamiętam ze snu, choć już nie było tak miło. Rozmawiała już w okularach, już zrzucając podniecenie, już inaczej. A słowa gdzieś pruty, gdzieś, nawet nie światłowodem, gdzieś falą nawet może nie, takie słowa zimne, krótkie, sterczące:

— Tak, nie, zgoda, jutro, tak, jasne, odezwę się, pa.

Te słowa do Niego, ta udawana obojętność, ale mnie nie oszukasz, wasz szyfr rozpracowałem. Te sterczące słowa, bo przy mnie udajesz i zamiast całusów, kochamciów i czułych bezceństw, ślesz do niego w eter — „Tak, nie, jutro, pa”.

Ugryzłem Cię wtedy w bark. „Z braku laku dobry bark” — zażartowałaś może, nie wiem, jak to we śnie, jakieś słowa i stał oczu, chłód, lód. Nie tego chciałem, nie zimnego błękitu, a jasnego nieba i ciepłej, gorącej miłości w oczach. Rzęci choćby, kuleczek, szybko topniejącej srebrnej rzęci, takiej, co się łatwo łączy w większe kuleczki, byle nie chłodu autonomicznej stali, nie to. Zimne i twarde narzędzia operacyjne, precz.

Nagle, jak to we śnie, nie nagle, tylko jakoś naturalnie, gdzieś indziej, w aucie na polskiej siódemce do Warszawy, prujemy, nie inaczej. I trzepoczesz rzęsami, że love, bliss i flow jak nigdy, a ja, że nie rób mi masła z mózgu, bo przecież wiem, jak jest. Nie trzeba ubijać. Warzę się we wrzółku twych słów jak śmietana z Biedronki, nie chcemy tego, oj, nie. Sztucznie czuła jesteś, nie bliska.

I wtedy, gdzieś między Nidzicą a Mławą, zielony drogowskaz rozbił strukturę słów — Wieczfnia Kość. Zdumienie, że blisko taki cud. Że jest. Tylko, co to? Drogowskaz, że stąd do wieczności? Znak, że nasze „na zawsze”, nasze ślubowane „na wieki” właśnie się kończy? Wściekłem się od tych skojarzeń. Wściekłem się tak bardzo, bo nie chciałem już znać czasu i skończyć wszystko właśnie teraz.

Zdażyłem pomyśleć i już nie mogłem dłużej ścisnąć kierownicy. I jak to we śnie puściłem ją po prostu, a samochód po prostu jechał dalej. Tylko muzyka zmieniła się na „Final Countdown” Europe, nie wiem czemu. A ja znów wyobraziłem sobie Ciebie z Nim i jasny chuj mnie strzelał w tym pędzie, aż zacisnąłem mocno ręce na Twojej szyi. Rzęziłaś, a mnie mldliło. Joy Tempest już nie śpiewał zagłuszony pikaniem czegoś, takim miarowym, wiesz. Pik pik, pik pik...

— Sączek proszę...

— Pani Aniu, parametry?

— Tracimy go... proszę się pośpieszyć, doktorze.

Słyszałem to, słyszałem. Mnie tracą, tak jak ja traciłem Ciebie. Parametry były w normie — ślub, dom, dzieci, ale Ciebie traciłem zazdrością. A moje parametry? Pik, pik, pik... Pani Ania milczy. Ciężko mi oddychać, małe wdeszki i wydeszki ledwo. W głowie tak jakoś powoli, jedna myśl nie chciała gonić drugiej, nawet nie wiem, o czym były. Pik, pik, pik, pik, cztery piki, skurczybyki... Jasne światło nad głową, ktoś mi gmera w ranie na brzuchu...

Wieczność to trwało, hektolitry mojej krwi i całe metry nici chirurgicznych później nabrałem siły, by wracać, nie zostawać sam na wieczność z tą zazdrością, coś jeszcze zrobić, zetrzeć ten mroczny pył. Ciekawość mnie męczyła, czy ty tam teraz z Nim...

* Miejscowość Wieczfnia Kościelna — na trasie nr 7, pomiędzy Nidzicą a Mławą

OLGIERD DZIECHCIARZ

Pobudka (cd. ze str. 12)

— Ale co? — zmarszczyła swoje śliczne czołko i nasek.

— Nie powinno się lekceważyć ludzi, bo to niemal tak, jakbyś lekceważyła życie. Wiesz, gdzie to cię zaprowadzi? Na manowce! Życie wymaga zainteresowania i przemyślenia. Nie można po prostu obok niego przejść. To nie jest uliczna latarnia, którą za dnia dostrzega się tylko wtedy, gdy się w nią uderzy głową! Tę samą latarnię docenia się ciemną nocą, bo wskazuje drogę i widzi się ją z daleka. Życie wymaga uwagi, bo to ono zawsze wygrywa.

Przyznaję, rozkręciłem się, chyba aż za bardzo.

— O co panu chodzi? Nic panu nie zrobiłam... — wyglądało, że zaraz się, biedaczka, rozplacze.

— Właśnie — zgodziłem się z nią. To mi pasowało. — Nic mi nie zrobiłaś. Czy jestem powietrzem, czy jestem niewidzialnym tworem, niematerialnym zjawiskiem, które można zlekceważyć? Więcej uwagi skupiłaś na półce, gdy kładłaś tam torebkę. Nie życzę sobie takiego traktowania. Jestem ważniejszy niż ta półka! Człowiek to istota, a to słowo pochodzi od istotności (nie

byłem tego pewny, a wręcz zdawało mi się, że jest właśnie odwrotnie i to „istotność” wywodzi się od „istoty”, ale słowo się rzekło, kobytka u płota). Stworzył nas Bóg na obraz i podobieństwo swoje. Gdybyś siedziała w jednym przedziale z Bogiem — gwarantuję ci, nie udałoby ci się go zignorować. Jako człowiek wymagam więc przynajmniej minimum uwagi. Każdy człowiek tego wymaga. Chciałabyś, żeby cię nie zauważano? Żeby ludzie pomi-jali cię wzrokiem i milczeli w twojej obecności?

Tak, macie rację, jeśli myślicie, że ona nic z tego nie rozumiała. Ona nic a nic z tego, co próbowałem jej powiedzieć, nie rozumiała i nie chciała zrozumieć. Była z tych odpornych na bodźce, to jest głupich, kobiet, od których gorsi są tylko głupi mężczyźni, na przykład ja, w tej oto chwili, kiedy, gestykulując niczym chasyd na jarmarku, starałem się ją przekonać sam nie wiem do czego.

Pokręciła głowę z niedowierzaniem, a chyba również z narastającą paniką. „Doprowadziłem dziewczynę do paniki, nieźle” — przyznaję,

triumfowałem, ale bez zbytniej satysfakcji. Tak jej było śpieszno do wyjścia, do tego, żeby mnie zostawić w przedziale tylko we własnym towarzystwie, że nie mogła sobie dać rady z zasunięciem drzwi. Podniosłem się, i patrząc jej prosto w oczy, powoli je zasunąłem — cały czas wpatrzony w jej rozszerzone źrenice, jakby to coś mogło dać, jakby tam, w tych przestraszonych, głupich oczach, była nadzieja. Ale niczego tam nie było. Spuściła wzrok, odwróciła się do mnie plecami, dzięki czemu przez chwilę mogłem popodziwiać jej kształtny tyłek, i poszła sobie. To też było jakieś rozwiązanie. Zostałem sam. Ale przecież wcześniej, gdy siedziała w moim przedziale, też byłem sam i ona też była sama. Teraz wszyscy jesteśmy sami, tak jak Mirek jest sam, tam, gdzie jest, a gdzie ja zdążam, choć wolałbym jechać w każdym innym kierunku, niż ten, który doprowadzi mnie do niego, leżącego w trumnie, może już na katafalku w kościele... Zawsze sami... Więc dlaczego, póki jeszcze możemy, nie korzystamy z szansy, by samymi nie być? Musimy z niej korzystać! To jej chciałem powiedzieć, ale nie dało się. Nikt teraz nie chce słuchać, co ktoś inny ma do powiedzenia. Wolimy słuchać tych, których w każdej chwili możemy wyłączyć z prądu. Żywego nie wyłączysz, żywego możesz tylko spłoszyć. A wtedy masz dla siebie cały przedział. Tak, to jest mój sposób na pozbycie się z innych ludzi z mojego otoczenia; nie muszę być chamski, brutalny, bezwzględny, agresywny, pijany czy śmierzący, żeby ludzie nie chcieli pozostawać dłużej w moim towarzystwie; wystarczy, że ich zagadnę, że postawię jakieś pytanie albo zasieję wątpliwość. Czasami wystarczy, iż jestem towarzyski. A zdarza się, że samym spojrzeniem, nieledwie chrząknięciem, ewentualnie równoważnikiem zdania płoszę współobywateli; zrywają się, jakby ktoś raził ich prądem, i uciekają, nawet gdy nie mają gdzie uciec, uciekają: we wnętrza swych telefonów, smartfonów, laptopów, rzadziej w książkę, w sen, w tępe spojrzenie wbite w brudną szybę...

A uciekajcie w cholerę! Uciekajcie na koniec świata! Uciekajcie na drugą stronę ulicy! Uciekajcie w szaleństwo! Uciekajcie w głupotę! Uciekajcie w politykę! Uciekajcie w pracę! Uciekajcie w sztukę! Uciekajcie w ucieczkę! Krzyżyk na drogę!

EMILIA WORONOWICZ

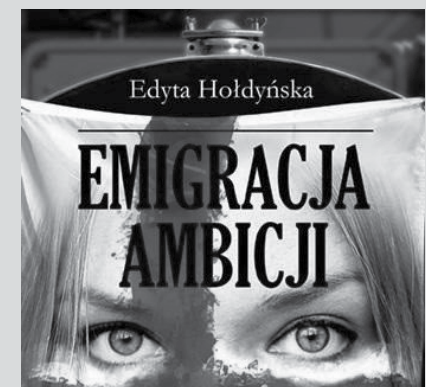
Bilet w jedną stronę... na zawsze

Emigracja ambicji Edyta Hołdyńska

1 maja 2004 roku Europa stanęła dla milionów Polaków otworem. Na wstąpienie Polski do Unii Europejskiej czekały tysiące młodych ludzi, którzy właśnie wchodzili w życie zawodowe. W kraju nie mieli większych szans na znalezienie dobrej pracy. Książka Edyty Hołdyńskiej biegnie tropem ośmiorga Polaków, którzy decydują się zostawić wszystko i poszukać szczęścia za granicą. Są to losy bliskie prawie każdemu z nas, bo niewiele jest w Polsce ludzi, którzy nie znaliby kogoś, kto wyjechał z kraju za chlebem. Przyszły ekonomista z dyplomem w kieszeni, student medycyny, wrażliwa i utalentowana artystka, zwykły chłopak z Podlasia. Dla nich wszystkich to funty, euro i dolary stały się przepustką do normalnego życia. Ceną za to było zerwanie kontaktu ze znajomymi i dotychczasowym życiem, zniszczone związki, oddalenie od rodziny. Mimo tego młodzi bohaterowie nie rozczulają się nad sobą. Nie każdy zostaje na obczyźnie, ale wszyscy dostają „lekcję życia” i wyciągają cenne wnioski. Choć ambicje muszą schować do kieszeni, to wytrwałość i ciężka praca zostają sowicie wynagrodzone. Paweł, jeden z bohaterów, rozważa możliwość powrotu do Polski. Ostatecznie podejmuje decyzję o pozostaniu za granicą: „Powrót do kraju byłby możliwy. Ale jeszcze nie teraz i Paweł nie ma pojęcia kiedy. (...) Stać go teraz na wszystko, a 4 tysiące złotych, które musiał ciućać na warunek z biochemii, były tylko przykrym wspomnieniem. Przykrym dlatego, że musiał przemierzyć siedem tysięcy kilometrów, aby zarobić taką sumę w krótkim czasie”. Zaskakuje dojrzałość i odpowiedzialność tych młodych przecież ludzi. Każdy z nich bierze życie we własne ręce i kieruje nim najlepiej jak potrafi. Kibicujemy im, z nimi przeżywamy porażki i awanse, zakochujemy się i wracamy do Polski, gdzie, jak marzą wszyscy bohaterowie, kiedyś będzie można żyć równie godnie jak na Zachodzie.



Rysunek z notatnika Hieronima Skurpskiego (ok. 1949 r.) z archiwum Marii i Marka Skurpskich



HIERONIM SKURPSKI

Myśli i rysunki

Zapiski oraz rysunki pochodzą z notatnika Hieronima Skurpskiego. Wykonane zostały przez artystę w latach czterdziestych XX w. Pochodzą z archiwum Marii i Marka Skurpskich.

Doznania

Przód liczebnik domów oto uogólnienie:

2. Випередження згодом
а) гіперпереклад підтримки,
а) енергії релігії...

Wilkent rorboje.

2 ustalen wrocie
a tymu Mojani
i moniki praw...

rentlei tweeje.

Uchwycić je trudno -
skoszt i oddać wtopić
w Tąd nowego tworu.

wśród wielu doszad ^(one) się cały -
wznowi.

војвођине енергије
поврине егзисту.



Samotnosti! Treći o posnaku micoici

other requirements,
 efficiency,
 non-killing ^{unpleasant} ~~unpleasant~~ ^{high} ~~high~~ interest,
 rapid and easy drop in cost.

Cicophia rousseti charka.
wzrost bunt roussetiego ducha.
vyshrovia powder flegma rousset
deputacje rousset.
fistole flegma.

IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK

W jak...

W jak wyprawa z miasta do Łuplanki, a właściwie do Starej Łuplanki, gmina Michałowo, powiat białostocki.

Realnie to jedna, trzy, siedem godzin jazdy, w zależności od tego skąd przybywasz. Mentalnie i jakościowo to wyprawa w minioną epokę. Do miejsca i czasu, w którym nikt nie posiadał traktora, a i dziś siano, żeby dobrze przeszło na polu, przerzuca się za pomocą grabi konnych.

Stara Łuplanka — wiedzie przez nią droga o kocich łbach i białym piaseczku, na jej końcu, jakiś kilometr dalej, jest Nowa Łuplanka, równie stara jak Stara. Nie ma tu kościoła ani cmentarza. Zmarłych chowa się w Jafówce /dawniej miasteczko, dziś duża wieś/, gdzie jest cerkiew, która z lotu ptaka wygląda jak srebrny, równoramienny krzyż ze złotym oczkiem.

Wszystkie te miejsca ulokowane są w odległości kilku kilometrów od granicy, która kiedyś nie była granicą. Mówi się tu jeszcze mieszkanką polskiego i białoruskiego, a ze znakiem krzyża głęboko pochyla.

W Starej Łuplance drewniane domy stoją szczytami do ulicy, a starzy, właściwie jedyni mieszkańcy, siadają na ławeczce przed płotem i rozmawiają, wspominają, snują. Kiedyś stała na końcu wsi, przez krótki czas, budka telefoniczna, ale szybko przestała być potrzebna.

Żenia i jej mąż Stefan latem korzystali z toaletki na zewnątrz domu. Miska, mydło, Iniana ściereczka oraz przybory do golenia — brzytwa i pędzel, stały na drewnianej półeczce. Lusterko powieszone na szczytowej ścianie, od podwórka, odbijało pooraną, ale zawsze pogodną twarz Stefana, jego dużo wcześniej zmarły sąsiad Wincenty też w ten sam sposób co rano golił swoją brodę. Jak to wyglądało zimą — brak danych.

URSZULA KOSIŃSKA

proste pytania

wieczność pragnie zwyciężyć
dlatego nie ma czasu do stracenia
poza ostatecznym horyzontem
trzeba dostrzec to co konieczne
miasto obwieszone światłami
i schnącą bielizną
to wszystko co piękne
jak widok wróbli które się kochają

a jeżeli po tylu przejściach
ulegniemy nie tyle pod ciężarem wieczności
co rzeczy najzwyczajniejszych
ot choćby łamania sobie w domu nad czymś głowy
dokonamy odkrycia
że żyjemy
dla grzebień w włosach
i plam na chusteczce

BOŻENA KRACZKOWSKA

Na czubku nieba

Na wietrze wszystko jest wietrzne.

Spada lub wznosi się w niebyty. Nawet skała.

Widziałam dzisiaj dym. Sączył się z komina bielutki jak mgła nad tąką o wschodzie lub o zachodzie. Raz przechylał się w jedną stronę, to znowu w drugą, szarpany wiatrem.

A innym razem, gdy wiatr łagodniał, zaczynał pędzić, piąć się w pośpiechu, jakby się bał, że nie zdąży przed kolejnym podmuchem. Szybciej i szybciej, wyżej i wyżej.

Dym taki.

Ładny.

Biały na tle czarnych, wiosennych drzew.

Był marzec i wszystko powinno budzić się wiosennie. Ale nie tego roku. Tego roku zima trzymała się kurczowo wszystkiego. Łodu się trzymała i śniegu, mrozu i tych czarnych, rozświetlonych wschodem słońca drzew. Dym sączył się teraz cieniutki. Przygięty do krawędzi komina, spływał na czerwone dachówki. Chwilkę odpoczywał, by znowu popędzić, oddalić się, rozwiąć.

Ładny taki.

Wietrzny.

I ja chcę tak stać na wietrze, na tle czarnych, wiosennych drzew.

Na tle wschodu i zachodu.

Chcę poczuć, czuć to przeginięcie — raz w jedną, to zaraz znowu w drugą stronę, a potem jeszcze do ziemi.

I odbić się,

wyrwać,

popędzić!

Wyżej i wyżej, aż na czubek nieba!

Aż w księżyc uderzyć i dostrzec księżyc wieczny!

Stawiaj mnie wiecznie na wietrze i tylko wietrzną mnie nie czyń.

Panie.

Wieczna lampka

W katolickich świątyniach zawieszona w pobliżu tabernakulum wieczna lampka symbolizuje obecność Chrystusa w Najświętszym Sakramencie. Zwyczaj jej palenia utrwalił się we wczesnym średniowieczu. Dawniej czuwano, by żywy płomień nie zgasł, natomiast współcześnie wieczne lampki zasilane są światłem elektrycznym. Jedynie w Wielki Czwartek światelko gaśnie, by na nowo zapłonąć w czasie liturgii Wigilii Paschalnej.

Lampki wykonywano ze srebra, miedzi i złoczonego brązu, nadając im kształt gołębic, ryby albo ozdobnego kosza.

Wieczna lampka w katedrze fromborskiej pochodzi z II poł. XVII w. Wykonana jest ze srebra. Zdobią ją główki aniołków i motywy roślinne wykonane techniką repusowania. Ma około 50 cm wysokości.

Fot. Marcin Zabłocki



Z PÓŁKI PÓŁKOWNICZKI

Półkowniczki — nieformalna grupa piszących kobiet związana z *Olsztyńskim Literackim Miesięcznikiem Mówionym*.

